

IMAGINATION
SCIENCE FICTION
APRIL, 1956
35¢
LEGION OF LAZARUS
by Edmond Hamilton
IT ISN'T the dying itself. It's what comes before. The waiting, alone in a room without windows, trying not to think. The opening of the door, the voices of the men who are going with you but not all the way. The walk down the corridor to the airlock room, the faces of the men, closed and impersonal. They do not enjoy this. Neither do they shrink from it. It's their job.
This is the room. It is small and it has a window. Outside there is no friendly sky, no clouds. There is space, and there is the huge red circle of Mars filling the sky, looking down like an enormous eye upon this tiny moon. But you do not look up. You look out.
There are men out there. They are quite naked.
The one garment you have worn is taken from you and the lock door opens, and the fear that cannot possibly become greater does become greater, and then suddenly—
(Turn to page 6)

Edmond Hamilton

Legion Łazarza

(The Legion of Lazarus)

Imagination, April 1956
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.



Wyrzucenie ze śluzy powietrznej w otwartą przestrzeń kosmiczną, było zgodną z prawem metodą egzekucji. Był to jednak również jedyny sposób w jaki człowiek mógł się zaciągnąć do… Legionu Łazarza.

Tu nawet nie chodzi o samą śmierć. Chodzi o to wszystko co ją poprzedza. Samotnie oczekujesz w pozbawionym okien pomieszczeniu, próbując zebrać myśli. Otwierają się drzwi, słyszysz głosy ludzi którzy idą z tobą, ale nie całkiem do końca. Przechodzisz korytarzem do pomieszczenia śluzy. Twarze ludzi są zamknięte i bezosobowe. To wszystko również im nie sprawia przyjemności. W żadnym jednak wypadku, też się przed tym nie wzbraniają. To po prostu ich praca.

Potem wchodzisz się do pomieszczenia przed śluzą. Jest małe, ale tym razem ma okno. Na zewnątrz jednak nie widać przyjaznego nieba, ani chmur. Jest tylko kosmos, no i wielki, czerwony krąg Marsa, wypełniający niemal całą przestrzeń nad tobą, spoglądający w dół, jak olbrzymie oko, czuwające nad tym maleńkim księżycem. Ale ty nie patrzysz do góry, patrzysz na zewnątrz.

Tam na zewnątrz znajdują się ludzie. Są zupełnie nadzy. Śpią na tej jałowej równinie, pogrążeni w bezczasowym oceanie. Ciała mają białe jak kość słoniowa, a włosy leżą luźno porozrzucane wokół twarzy. Niektórzy z nich wydają się uśmiechać. Leżą i śpią, a wielkie czerwone oko spogląda na nich bez przerwy, tak jakby się tutaj, wokół niego na nowo narodzili.

– To nie jest takie złe – mówi jeden z ludzi, którzy znajdują się razem z tobą, w tym ostatecznym pomieszczeniu. – Za pięćdziesiąt lat, pozostali z nas, tutaj obecnych, będą starzy lub martwi.

Niewielkie pocieszenie.

Zabierają ci ostatnie części garderoby, jakie masz na sobie i otwiera się pokrywa wewnętrznego włazu, a strach, który jak ci się wydawało nie może być już silniejszy, staje się coraz silniejszy, a potem nagle to straszliwe crescendo kończy się. Nie ma już żadnej nadziei, i uświadamiasz sobie, że bez nadziei, w zasadzie nie można niczego się obawiać. Wszystko czego chcesz, to aby w końcu to się skończyło.

Robisz krok naprzód i wchodzisz do śluzy.

Właz za tobą zamyka się. Czujesz, że ten przed tobą się otwiera, ale nie zajmuje to zbyt wiele czasu. Strumień powietrza unosi cię do przodu. Być może krzyczysz, ale teraz dźwięk pozostaje już za tobą, podobnie wzrok i wszystko inne. Nie czujesz nawet, jak bardzo jest zimno.

Rozdział I

Jest czas snu, i czas przebudzenia. Ale Hyrst spał bardzo mocno, a więc przebudzenie było trudne. Spał również długo, a więc przebudzenie było również powolne. *Pięćdziesiąt lat,* podpowiadał jakiś zamglony głos we wspomnieniach. Jednak inna część jego umysłu, mówiła: *Nie, to jest poranek następnego dnia*.

Inna część jego umysłu. To bardzo dziwne. Wydawało mu się, że w jego umyśle było dużo więcej części, niż to pamiętał z przeszłości., ale wszystkie były zupełnie zdezorientowane i skryte za kurtyną mgły. Być może tak naprawdę, to ich tam w ogóle nie było. Być może…

– *Pięćdziesiąt lat. Byłem martwy* – pomyślał, – *a teraz ponownie żyję. Pół wieku. Dziwne*.

Hyrst leżał w wąskim łóżku, w jakimś miejscu, w którym paliło się przytłumione światło i w powietrzu pachniało środkami antyseptycznymi. W pokoju, poza nim, nie było nikogo. Nie było słychać żadnych dźwięków.

– *Pięćdziesiąt lat* – rozmyślał dalej. – *Jak teraz wygląda dom w którym kiedyś mieszkałem, kraj, planeta? Gdzie są moje dzieci, gdzie są moi przyjaciele, moi wrogowie? Ludzie których kochałem, ludzie których nienawidziłem?*

– *A co z Eleną? Gdzie jest moja żona*?

Odpowiedział mu szept znikąd, smutny, odległy.

– *Twoja żona nie żyje, a dzieci są już stare. Zapomnij o nich. Zapomnij o przyjaciołach i o wrogach*.

– *Ale ja nie potrafię zapomnieć!* – zawołał w milczeniu Hyrst, gdzieś w głębi swoich myśli. – *To było zaledwie wczoraj…*

– *Pięćdziesiąt lat* – odparł szept. – *A ty, musisz zapomnieć.*

– *MacDonald* – nagle powiedział Hyrst. – *Nie zabiłem go. Byłem niewinny. Nie mogę o tym zapomnieć.*

– *Ostrożnie* – powiedział szept. – *Uważaj*.

– *Ja nie zabiłem MacDonalda. Ktoś inny to zrobił. Ktoś, kto spowodował, że to ja za to zapłaciłem. Kto? Czy to był Landers? Czy może Saul? Byliśmy razem we czwórkę, wtedy na Tytanie, kiedy on zginął.*

– *Ostrożnie, Hyrst. Idą tutaj. Posłuchaj mnie. Myślisz, że to mówi tylko twój własny mózg. Sam zadaje pytania i na nie odpowiada. To jednak nie jest prawda.*

Hyrst wyskoczył w górę na wąskim łóżku, serce waliło mu jak młotem, a na skórze pojawiły się zimne strużki spływającego potu.

– *Kim jesteś? Gdzie jesteś? Jak…*

– *Już są* – oznajmił spokojnie głos. – *Bądź cicho.*

Do sali weszło dwóch mężczyzn.

– Witam pana, jestem doktor Meridew – powiedział jeden z nich, w białym ubraniu. Uśmiechnął się do Hyrsta, energicznym, profesjonalnym uśmiechem. – A to jest strażnik Meister. Nie mieliśmy zamiaru pana niepokoić. Zanim jednak pana wypuścimy, musimy panu zadać kilka pytań…

Meridew – przekazał szept w umyśle Hyrsta, – *jest psychiatrą. Lepiej ja się tym zajmę*.

Hyrst siedział nieruchomo, z rękoma luźno ułożonymi pomiędzy kolanami. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Słyszał pytania zadawane przez psychiatrę i słyszał odpowiedzi, które na nie udzielał, ale tak naprawdę był jedynie przekaźnikiem, bez świadomości i woli, a odpowiedzi udzielał ktoś, szepczący w jego myślach. Następnie drugi z przybyłych, strażnik, przerzucił kilka trzymanych w ręku papierów, i zaczął mu zadawać własne pytania.

– Został pan poddany Humanitarnej Karze, ale nie przyznał się pan do winy. Czy teraz, kiedy kara została już wykonana, chce pan zgłosić do akt, jakieś oświadczenia odnośnie zmian w pańskim poprzednim stanowisku?

Głos w myślach Hyrsta, potajemny głos, szybko go powstrzymał:

– Nie dyskutuj z nimi. Nie wpadnij czasami w gniew, albo będą cię zatrzymywać tutaj w nieskończoność.

– Ale… – pomyślał Hyrst.

– Wiem, że jesteś niewinny, ale oni w to nigdy nie uwierzą. Zatrzymają cię w celu wykonania dalszych testów psychiatrycznych. Mogliby nawet zbliżyć się do sedna prawdy, Hyrst. Prawdy o nas.

Nagle Hyrst zaczął rozumieć, nie do końca i niezupełnie wyraźnie, część z tego co się mu przydarzyło. Kurtyny mgieł zaciemniające obrzeża jego umysłu, zaczęły się unosić.

– A na czym polega ta prawda – spytał w ten wewnętrzny, cichy sposób, *– o nas*?

– Spędziłeś pięćdziesiąt lat w Dolinie Cienia. Zmieniłeś się, Hyrst. Już nie całkiem jesteś człowiekiem. Podobnie jak każdy z nas, który przeszedł przez mróz. Oni jednak nie mogą się o tym dowiedzieć.

– A więc ty również…

– Tak. Ja również się zmieniłem. To dzięki temu nasze umysły mogą rozmawiać, nawet pomimo tego, że ja jestem na Marsie, a ty na jego księżycu. Oni jednak nie mogą się o tym dowiedzieć. A więc nie dyskutuj, nie okazuj emocji!

Strażnik czekał. Hyrst odpowiedział mu na głos, powoli dobierając słowa.

– Nie mam żadnych oświadczeń, które chciałbym złożyć.

Strażnik nie wydawał się być specjalnie zaskoczony. Kontynuował:

– Zgodnie z dokumentami, zaprzeczył pan również temu, że zna lokalizację tytanitu, z powodu którego MacDonald prawdopodobnie został zamordowany. Czy nadal pan temu zaprzecza?

Hyrst był naprawdę zaskoczony.

– Ale z pewnością, do dzisiaj…

Strażnik wzruszył ramionami.

– Zgodnie z tymi danymi, nigdy nie został on odnaleziony.

– Nigdy nie wiedziałem – oświadczył Hyrst, – gdzie on był.

– No cóż – stwierdził strażnik, – zadałem niezbędne pytania, i na tym kończą się moje obowiązki. Chciałem panu tylko jeszcze przekazać, że ma pan gościa, który otrzymał zezwolenie na spotkanie się z panem.

Strażnik i doktor odeszli. Hyrst przyglądał się im, jak wychodzą. Pomyślał:

– A więc już nie jestem tak do końca człowiekiem. I nigdy nim nie będę. Czy to czyni mnie czymś gorszym lub lepszym niż człowiek?

– I takim, i takim – odparł potajemny głos. *– Ich myśli nadal są dla ciebie zamknięte. Jedynie nasze umysły, tych którzy również ulegli przemianie, są otwarte.*

– Kim jesteś – spytał Hyrst.

– Nazywam się Shearing. Posłuchaj mnie teraz. Kiedy cię wypuszczą, przetransportują cię na dół, na Marsa. Będę tam na ciebie czekał. Pomogę ci.

– Dlaczego? Dlaczego interesujesz się mną, mordercą sprzed pięćdziesięciu lat?

– Powiem ci to później – przekazał szept Shearinga. – *Musisz jednak podporządkować się moim wskazówkom. Hyrst, w chwili, kiedy cię wypuszczą, nad twoją głową zawiśnie poważnie niebezpieczeństwo! Są również inni, którzy czekają na ciebie.*

– Niebezpieczeństwo? Ale…

W tej chwili otworzyły się drzwi i do środka wszedł gość Hyrsta. Był to mężczyzna, nieco po sześćdziesiątce, ale głębokie zmarszczki na twarzy, powodowały, że wyglądał nawet jeszcze starzej. Twarz miał szarą, wychudzoną i wykrzywioną, ale kiedy podszedł do podnóżka łóżka i spojrzał na Hyrsta, stała się doskonale biała i sztywna. W jego oczach widać było gniew. Gniew tak stary i tak zmęczony, że napędził do nich łzy.

– Powinieneś pozostać martwy – powiedział do Hyrsta. – Dlaczego oni nie mogli zostawić cię w tym stanie na stałe?

Hyrst był zszokowany i zaskoczony.

– Kim pan jest? I dlaczego…

Drugi człowiek nawet nie słuchał jego słów. Zamknął powieki, a kiedy je otworzył ponownie, wyglądała z nich czysta agonia.

– To nie w porządku – stwierdził. – Morderca powinien umrzeć, i pozostać martwym. Nie powinien wracać.

– Nie zamordowałem MacDonalda – odparł Hyrst z narastającym gniewem. – I nie wiem, czemu pan…

Przerwał. Biała, starsza twarz, wypełnione łzami wściekłe oczy… Nie całkiem zdawał sobie sprawę, co w nich takiego było, ale poczuł jakby jakaś, gdzieś dawno temu zapamiętana twarz, wyjrzała na moment z mętnej wody niepamięci, a potem ponownie w niej znikła.

Po chwili Hyrst spytał ochrypłym głosem:

– Jak się pan nazywa?

– Nie znasz mojego nazwiska – powiedział ten drugi. – Zmieniłem je, dawno temu.

Hyrst poczuł chłód i zdawało mu się, że nie może złapać oddechu. Wydusił z siebie:

– Ale ty miałeś tylko jedenaście…

Nie mógł mówić dalej. Między nimi zawisła straszliwa cisza. Musi ją przerwać, nie może pozwolić, żeby tak to trwało dalej. Musi coś powiedzieć. Jednak zdołał wydobyć z siebie tylko szept:

– Nie jestem mordercą. Musisz mi uwierzyć. Udowodnię to, zobaczysz…

– Zamordowałeś MacDonalda. Zamordowałeś również moją matkę. Musiałem przyglądać się, jak się starzeje i umiera, wydając każdy grosz, każdą kroplę krwawicy swojej i naszej, aby cię z powrotem odzyskać. Przez pięćdziesiąt lat udawałem, że ja również wierzę w twoją niewinność, podczas gdy przez cały ten czas znałem prawdę.

Hyrst powiedział tylko:

– Jestem niewinny …

Próbował dodać jeszcze jego imię, ale nie mógł wypowiedzieć tego słowa.

– Nie. Kłamiesz tak, jak kłamałeś wtedy. W końcu sobie to uświadomiliśmy. Matka wynajmowała detektywów, ekspertów. Kolejnych i kolejnych, przez całe dekady… i za każdym razem wszyscy przynosili tę samą odpowiedź. Launders i Saul nie mieli możliwości zabicia MacDonalda, a ty byłeś jedyną istotą ludzką poza nimi, która tam była. Dowody? Mogę ci pokazać całe ich stosy. A każdy z nich mówi, że mój ojciec jest mordercą.

Pochylił się lekko nad Hyrstem i po jego pomarszczonej, zniszczonej twarzy, spłynęły łzy. Oznajmił mu powoli:

– No dobrze, a więc wróciłeś. Żyjesz i ciągle jesteś młody. Ale ostrzegam cię. Jeżeli ponownie spróbujesz zdobyć ten tytanit, jeżeli po tych wszystkich latach ponownie okryjesz nas hańbą, albo jeśli choćby spróbujesz się do nas zbliżyć, to cię zabiję.

Wyszedł. Hyrst usiadł na łóżku, spoglądając za nim, i pomyślał, że nikt wcześniej nigdy jeszcze nie przeżywał tego, co rozdziera teraz jego duszę.

Wewnątrz jego myśli pojawił się szept Shearinga, przesiąknięty zupełnie niespodziewaną nutą współczucia.

– *A jednak, niektórzy z nas tak, Hyrst. Witaj w braterskim kręgu. Witaj w Legionie Łazarza.*

Rozdział II

Dzisiejszego wieczora, Mars huczał i jaśniał. W jaki sposób człowiek ma stawić czoła tylu dźwiękom i światłom, kiedy właśnie powrócił z ciszy wieczności?

Hyrst spacerował po jasno oświetlonych ulicach Syrtis, z wolna powłócząc nogami. Czuł się tak, jakby znalazł się z powrotem na Ziemi. To miasto nie było bowiem tak naprawdę częścią tej starej, martwej planety, ponurych pustkowi, ciągnących się w nieskończoność pod nocnym niebem. To była enklawa marynarzy, górników, kombinatorów i robotników, którzy przybyli z innego, młodszego świata. Zbudowane przez nich bary i miejsca oferujące różnego rodzaju rozrywki, promieniowały niemal słonecznym blaskiem. W odległym porcie kosmicznym, majestatycznie wznosiły się w niebo ich statki, rysujące swoje ogniste ślady na nieboskłonie. Tylko tu i ówdzie, przemykał jeden z zakapturzonych, odzianych w długie szaty humanoidów, który niegdyś byli władcami tej planety.

– *Następny narożnik* – oznajmił szept w umyśle Hyrsta. – *Skręć tam. Nie, nie w kierunku kosmodromu. W drugą stronę.*

Hyrst nagle pomyślał:

– *Shearing.*

– *Tak?*

– *Ktoś mnie śledzi.*

Jego fizyczne uszy, nie słyszały niczego poza głosami i muzyką. Fizyczne oczy, widziały wyłącznie uliczny tłum. A jednak był tego pewien. Wiedział o tym, dzięki obrazom, które przepływały nieustannie przez jego myśli, pokazując mu jakąś rozmytą postać, która szła za nim przez cały czas.

– *Oczywiście, że jesteś śledzony* – nadeszła myśl Shearinga. – *Mówiłem ci przecież, że będą na ciebie czekać. No, jest róg ulicy. Skręcaj.*

Hyrst skręcił. Ta ulica była ciemniejsza, odchodząc od oświetlonych rejonów, pomiędzy ciemne magazyny i labirynt kamiennych domów humanoidów.

– *Teraz obejrzyj się do tyłu* – rozkazał Shearing. – *Nie, nie oczyma! Tylko samym umysłem. Ucz się jak korzystać ze swoich zdolności.*

Hyrst spróbował wykonać polecenie. Rozmyty obraz w jego głowie, stawał się coraz bardziej wyraźny, i wkrótce dostrzegł, że był to młody człowiek ze złośliwie wykrzywionymi ustami i płaskim, obojętnym spojrzeniem. Hyrsta przeszył dreszcz.

– *Kim on jest?*

– *Pracuje dla ludzi, którzy na ciebie czekali, Hyrst. Poprowadź go tędy.*

– *Tędy? Którędy?*

– *Spójrz do przodu. Umysłem. Czy niczego nie potrafisz się nauczyć?*

Ugodzony do żywego, Hyrst wyrzucił gniewnie sondę myślową, z siłą, której nawet nie podejrzewał, że posiada. Z przodu, pomiędzy dwoma magazynami, zamiast całkowitej ciemności dostrzegł wysokiego mężczyznę, opierającego się wygodnie o ścianę. Shearing roześmiał się.

– *Tak, to ja. Po prostu przejdź koło mnie. Nie śpiesz się.*

Hyrst obejrzał się mentalnie do tyłu, spoglądając na człowieka śledzącego go w ciemnościach. Teraz tamten zbliżył się do niego, cicho jak duch. Jego twarz przybrała wyraz napięcia i tajemniczości. Hyrst pomyślał sobie przez chwilę: „A skąd niby mam wiedzieć, że

ten Shearing nie jest razem z nim, i nie prowadzi mnie w jakieś miejsce, gdzie obaj mogą się na mnie rzucić…”

Przeszedł pomiędzy dwoma magazynami, nie odwracając głowy, pomimo że jego umysł widział czekającego w ciemności Shearinga. Potem usłyszał głuchy, przytłumiony odgłos, odwrócił się, i zobaczył Shearinga pochylonego się nad leżącą postacią.

– To było nieuprzejme z twojej strony – powiedział Shearing na głos, ale nie głośno.

Hyrst, nadal lekko drżąc, odparł:

– Ale chyba nie było specjalnie dziwne. Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. A ja nadal nie wiem, co się tutaj dzieje.

Shearing uśmiechnął się, przyklękając obok leżącego bezwładnie i nieruchomego ciała człowieka. Nawet tu, pomimo panującego półmroku, Hyrst był w stanie go widzieć tymi nowymi oczyma swojego umysłu. Shearing był dużym mężczyzną. Włosy na skroniach mu już posiwiały, ale jego ciemne oczy nadal spoglądały bardzo bystro. Wyciągnął rękę i obrócił głowę leżącego młodego człowieka, tak by mogli spojrzeć na jego bezwładną i luźną twarz.

– Nie zabiłeś go? – zapytał Hyrst.

– Oczywiście, że nie. Ale minie trochę czasu zanim się ocknie.

– Ale kto to jest?

Shearing podniósł się.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem. Ale wiem, dla kogo pracuje.

Hyrst nagle strzelił w Shearinga pytaniem, i niemal bez chwili zastanowienia poszedł za ciosem, próbując z zaskoczenia wydobyć odpowiedź z umysłu drugiego człowieka. Pytanie brzmiało: *Dla kogo pracujesz*? W odpowiedzi pojawiła się kobieta, wysoka, ładna kobieta o gniewnych oczach, stojąca na tle rozgwieżdżonego nieba. Widać było tam również jakiś statek, samotnie stojący na ciemnej równinie, na który wskazywała ręką. W jakiś sposób Hyrst zdał sobie sprawę, że chodziło o coś niesamowicie ważnego dla niej, dla Shearinga, a być może również i dla niego samego. Zanim jednak zdołał zrobić coś więcej, niż tylko mechanicznie zarejestrować tę ulotną wizję w swojej własnej pamięci, umysł Shearinga zatrzasnął się, z dokładnie takim samym gwałtownym skutkiem, jaki spowodowałyby drzwi zatrzaskujące się na jego twarzy. Zatoczył się do tyłu, wyrzucając w górę ręce, w niepotrzebnym ale instynktownym geście poddania, a Shearing gniewnie stwierdził:

– Robisz się zbyt dobry. Pozwól, że dam ci pewną wskazówkę, znakomicie ułatwiającą życie z społeczeństwie: zanim wejdzie się do środka, powinno się pukać.

Hyrst spytał, starając się zebrać razem wszystkie kawałki swojej głowy:

– W porządku… przepraszam. A więc, kim ona jest?

– Ona jest jedną z nas. Ona chce tego, co i my.

– Ja jedynie chcę się dowiedzieć, kto zamordował MacDonalda!

– Chcesz dużo więcej, Hyrst, tylko jeszcze tego nie wiesz. Ale morderca MacDonalda jest częścią tego, czego szukamy.

Złapał Hyrsta za ramię.

– Nie mamy ogona. Dzięki moim wskazówkom, wyślizgnąłeś się wszystkim, poza tym jednym. Ale bardzo szybko ruszą naszym tropem.

Poszli dalej ciemną ulicą. Światła latarni pozostały już daleko poza nimi i poruszali się w niemal zupełnej ciemności, mając jako świadków jedynie ostro świecące gwiazdy, zimny, chłoszczący piachem wiatr sponad pustyni i ciemne otwory wejściowe, podobnych do mastab kamiennych domów humanoidów, wpatrujące się w nich jak oczy ślepca. Hyrst spojrzał w górę, na jasny malutki księżyc, pełznący powoli między gwiazdami i przeszył go głęboki dreszcz, na myśl o leżących na nim w śmiertelnym śnie ludziach, o sobie samym leżącym tam, rok za rokiem.

– Tutaj, do środka – powiedział Shearing. Był to jeden z zimnych, zapleśniałych grobowców, które humanoidzi nazywali domem. W środku było zupełnie ciemno, i nie było żadnych sprzętów. – Nie możemy zaryzykować zapalenia światła. I tak go zresztą nie potrzebujemy.

Usiedli. Hyrst zaczął desperacko domagać się wyjaśnień.

– Posłuchaj, muszę dowiedzieć się kilku rzeczy. Co my właściwie tutaj robimy?

Shearing odparł z namysłem:

– Ukrywamy się przed tymi, którzy cię ścigają i czekamy aż nadarzy się szansa przedostania się do naszych przyjaciół.

– Naszych przyjaciół? Być może, twoich przyjaciół. Ta kobieta… nie znam jej, i…

– Teraz to *ty* mnie posłuchaj, Hyrst. W tej chwili powiem ci o nas tylko tyle. Jesteśmy Lazarytami, ożywionymi tak jak ty, posiadamy te same umiejętności co ty. Ale nie wszyscy Lazaryci są po *naszej* stronie.

Hyrst zaczął zastanawiać się nad jego słowami.

– A więc ci, którzy na nas polują…

– Pomiędzy nimi również są Lazaryci. Niezbyt wielu, zaledwie paru. Nie znasz nas, nie znasz ich. Chcesz sobie pójść ode mnie, a potem wrócić tam i pozwolić, aby to oni cię złapali?

Hyrst pamiętał jeszcze żmijowatą twarz młodego człowieka, który szedł za nim w ciemnościach. Po dłuższej chwili odparł:

– No cóż. Ale czego *ty* ode mnie chcesz?

– Tego, za co został zabity MacDonald, pięćdziesiąt lat temu.

Hyrst był zupełnie zaskoczony.

– Tytanit? Mówili mi, że nigdy nie został odnaleziony. Ale w jaki sposób mógłby pozostawać pod ziemią przez tak długi czas…

– Chciałbym – powiedział Shearing, – abyś opowiedział mi o tym, jak został zabity MacDonald. Wszystko, co tylko zdołasz sobie przypomnieć.

Hyrst spytał go z niecierpliwością:

– Myślisz, że uda nam się wykryć kto go zabił? Po tych wszystkich latach? O Boże, gdybyśmy tylko zdołali… mój syn…

– Spokojnie, Hyrst. No dalej, opowiedz mi. Nie słowami. Po prostu przypomnij sobie wszystko, co się wydarzyło, a ja to spokojnie odbiorę.

Jednak, kiedy obaj siedzieli w zimnych, pełnych szmerów i szelestów ciemnościach, Hyrst stwierdził, że ograniczony przez nawyki nabyte w ciągu całego swojego życia, nie był w stanie przypomnieć sobie w myślach niczego, bez wcześniejszego ubrania tego w słowa.

– Byliśmy tam, na Tytanie, we czterech, jak pewnie już zresztą wiesz. I tylko we czterech…

Czterech mężczyzn. Jeden z nich, noszący nazwisko MacDonald, inżynier, był skrytym, samolubnym i niesamowicie chciwym człowiekiem. To właśnie MacDonald był tym, który znalazł fortunę, utrzymując to w tajemnicy, a potem zginął.

Innym z ich grupy był również Landers. Szczupły, energiczny człowiek, o brązowych włosach, znakomity fizyk o przyjacielskim sposobie bycia, pozbawiony oczywistych ambicji.

Kolejnym był Saul. On dla odmiany był potężnym blondynem, spokojnym, znakomitym towarzyszem biesiad, dobrym geologiem i miłośnikiem dobrej muzyki. Jeżeli miał nawet jakieś ciemniejsze pasje, udało mu się to zachować w ukryciu.

Czwartym z mężczyzn był Hyrst, i on jako jedyny z całej czwórki, ciągle jeszcze żył…

Teraz sobie wszystko przypomniał. Przed oczyma stanęły mu ostre i czarne granie gór Tytana, sterczące nagimi skałami na tle wspaniałych Pierścieni. Zobaczył również w myślach

dwie postaci, idące przez równinę metanowego śniegu, ich hełmy jasno błyszczały w świetle Saturna. Poza nimi, na równinie widać było płaskie, na wpół zagrzebane w śniegu, betonowe budynki małej przetwórni, wokół których splatała się pajęcza sieć dróg, po których wielkie pół-gąsienicowe ciągniki przyciągały z otaczających gór olbrzymie ładunki rudy uranowej.

Dwóch mężczyzn kłóciło się zażarcie.

– Jesteś zły – mówił właśnie MacDonald, – ponieważ, to *ja* go znalazłem.

– Posłuchaj – odparł Hyrst, – całej naszej trójce rzygać już się chce, od słuchania tych twoich przechwałek na ten temat.

– Założę się, że jesteś – z zadowoleniem stwierdził MacDonald. – Pierwsze złoże tytanitu znalezione od lat. Najrzadszy, najbardziej kosztowny materiał w Układzie. Gdybyś tylko wiedział, jak oni się będą licytować, żeby go ode mnie kupić…

– Wiem – zauważył Hyrst. – Już od kilku tygodni nie robisz niczego innego, tylko rzucasz tajemnicze aluzje…

– A tobie to się nie podoba – powiedział MacDonald. – Oczywiście, że nie. To nie jest część naszego interesu z przetwórnią rudy. To kopalnia, którą ja sam znalazłem, i jej położenie pozostanie w tajemnicy, tak by nikt inny jej nie odkrył, zanim nie sprzedam tytanitu. Naturalnie, że to ci się zupełnie nie podoba.

– Niech ci będzie – zgodził się Hyrst. – A więc to znalezisko tytanitu, należy wyłącznie do ciebie. Pamiętaj jednak, że jeśli chodzi o przetwórnię, nadal jesteśmy wspólnikami. A ty ciągle masz pewne zobowiązania w stosunku do reszty z nas, a więc byłoby cholernie dobrze, gdybyś wziął się do swojej roboty.

– Tym nie musisz się przejmować. Zawsze robiłem co do mnie należy.

– Mniej więcej – powiedział Hyrst. – Tak dla twojej informacji, widziałem lepszych inżynierów, już na uczelni. Tam jest wyciągarka Numer Trzy. Już od tygodnia jest uszkodzona. Mógłbyś więc łaskawie zabrać się za to, i ją naprawić.

Dwie postaci w pamięci Hyrsta ruszyły dalej, wychodząc z obszaru poprzecinanego drogami i zbliżając się do krawędzi lądowiska, na które przylatywały statki zabierające oczyszczony uran. Podeszli do sterczącej ponad ziemię, prostej, brzydkiej kolumny Wyciągarki Numer Trzy. Przeznaczona była do wynoszenia uranu z podziemnych bunkrów magazynowych i ładowania go na specjalnie zbudowane transportowce dostawcze dla gorących materiałów promieniotwórczych, czekające na stanowisku w doku. Ale Numer Trzy zbuntowała się i odmówiła działania. To było całkowicie zautomatyzowane urządzenie, któremu ludzie potrzebni byli do szczęścia jedynie w sytuacji gdy coś szło źle. Teraz ewidentnie coś poszło źle, i doprowadzenie tego do porządku należało do inżyniera mechanika, czyli MacDonalda, i speca od elektroniki, Hyrsta.

Hyrst otworzył właz i wspięli się po metalowych schodkach do umiejscowionego na górze pomieszczenia. Tutaj znajdował się mózg Numeru Trzeciego, jego czujniki, aparatura rejestrująca i diagnostyczna, system sygnalizacyjny. Na panelu, pośród szeregu białych światełek, pulsowało samotne czerwone.

– Kłopot leży w mechanizmie podnośnika – powiedział Hyrst. – A to jest twoja działka. – Uśmiechnął się i usiadł na metalowej ławeczce pośrodku pomieszczenia, opierając się plecami o schodki. – Poziom D.

MacDonald pogderał trochę i podszedł do klatki z prętów, zbudowanej ponad okrągłym segmentem podłogi. Do ożebrowania klatki, poprzypinane były różnego rodzaju narzędzia. MacDonald nałożył na swój próżnio-skafander dodatkowy antyradiacyjny kombinezon ochronny, wszedł do środka windy, i nacisnął przycisk. Klatka zapadła się w okrągłym szybie, prowadzącym przez wyciągarkę równolegle do mechanizmu podnośnika.

Hyrst czekał na niego. Wewnątrz hełmu słyszał oddech i gderanie, wykonującego swoją robotę MacDonalda, który naprawiał pęknięty pas. Poza tym nie było słychać żadnych innych niepokojących dźwięków. Wtedy coś się stało, tak szybko, że nawet nie miał w pamięci

żadnych wspomnień tego wydarzenia. Nieco później zszedł na dół i zaczął szukać MacDonalda. Klatka windy była na samym dole, na dnie szybu, a MacDonald leżał w środku, przyciśnięty niesamowicie masywnym blokiem podstawy jednego z urządzeń. Blok został wyrwany z podłogi i przyciągnięty do krawędzi szybu windy, tak że nie było możliwości, aby jego upadek pomiędzy szeroko rozpostarte ożebrowanie klatki, mógł być dziełem przypadku.

– I w ten właśnie sposób zabity został MacDonald – pomyślał sobie Hyrst, – ... *i również ja zostałem zabity. Powiedzieli, że zmusiłem go do wydania mi tajemnicy znaleziska tytanitu, a potem go zamordowałem.*

Shearing spytał go szybko:

– MacDonald nigdy nie dał ci żadnych wskazówek, gdzie znajduje się tytanit?

– Nie – odparł Hyrst. Na chwilę przerwał, a następnie zapytał: – Czy właśnie tego tytanitu szukamy?

Shearing odpowiedział ostrożnie ważąc słowa:

– W pewnym sensie, tak. Ale *my* z jego powodu nie zabiliśmy MacDonalda. Zabili go ci ludzie, którzy teraz ścigają ciebie. Boją się, że mógłbyś doprowadzić nas do złoża.

Hyrst zaklął głośno, wstrząśnięty nagłym gniewem.

– Do diabła, nie pozwolę traktować się jak dzieciaka. Ani wam, ani nikomu innemu. Chcę…

– Chcesz dopaść ludzi, którzy zabili MacDonalda – przerwał mu Shearing. – Wiem, wiem. Pamiętam to, co pojawiło się w twoich myślach, kiedy spotkałeś się ze swoim synem.

Hyrsta opanowała nagła słabość i oparł się czołem o zimny, kamienny mur.

– Przepraszam – powiedział Shearing. – Ale wiemy, czego chcesz… i o wielu innych sprawach. O tak wielu, że nawet sobie tego nie wyobrażasz. Musisz nam zaufać.

– Wam? Tej kobiecie?

Ponownie w myślach Shearinga Hyrst dojrzał tę kobietę, z głową na tle gwiazd, i wznoszącą się nad ziemią ciemną bryłą statku. Tym razem widział ją dużo wyraźniej i zauważył, że była wręcz rozpalona, płonąc gniewem, nakierowanym na jeden, ściśle określony cel. Była piękna i straszna zarazem.

– Jej, i innym – odparł Shearing. – Posłuchaj. Niedługo musimy stąd znikać. Ktoś nas zabierze, potajemnie. Czy zaufasz nam, czy raczej wolisz zaufać tym, którzy polują na ciebie?

Hyrst milczał. Shearing więc naciskał:

– I jak?

– Pójdę z tobą – w końcu powiedział Hyrst.

Wyszli na zewnątrz i ledwie zanurzyli się w zimną ciemność, Hyrst usłyszał w myślach głos Shearinga:

– Nie próbowałbym uciekać…

Ale to nie Shearing to powiedział. To był jakiś inny mężczyzna.

– Nie próbowałbym uciekać…

Szaleńczo przerażony Hyrst wyrzucił swoją sondę myślową i zobaczył stojących wokół nich w ciemności ludzi, czterech mężczyzn, z których trzech trzymało w rękach groźną niewielką broń, nazywaną pistoletem rojowym. Czwarty z mężczyzn, ciemnowłosy smukły człowiek, o lisiej twarzy, wystających kościach policzkowych i wąskich oczach, uśmiechał się do niech. W tym momencie Hyrst zorientował się, że trzech uzbrojonych napastników, to zwykli ludzie, a tym który przemówił do nich w myślach, był ten czwarty.

Teraz powiedział już na głos:

– Chciałbym was mieć żywych, uwierzcie mi… ale między życiem a śmiercią jest nieskończenie wiele stopni pośrednich. Moi ludzie są bardzo precyzyjni.

Twarz Shearinga nagle stała się wynędzniała i wyczerpana.

– Nie próbuj niczego – ostrzegł zmęczonym głosem Hyrsta. – On wie co mówi.

Ciemnowłosy mężczyzna pokręcił głową w stronę Shearinga.

– To nie było zbyt miłe z twojej strony. Wiedziałeś, że pan Hyrst cieszył się naszym szczególnym zainteresowaniem. – Odwrócił się do Hyrsta i uśmiechnął. Miał bardzo równie i niesamowicie białe zęby. – Czy pan wie, że Shearing utrzymywał tarczę ochronną, zarówno nad pańskim umysłem, jak i nad swoim? To zadanie trochę go przerosło. Wystarczyło, że na moment otworzył pan swój umysł. To było wszystko czego potrzebowaliśmy, aby doprowadziło nas tutaj.

Mówił dalej.

– Panie Hyrst, nazywam się Vernon. Chcielibyśmy, aby udał się pan z nami.

Vernon skinął głową na trzech bardzo precyzyjnych ludzi, i cała mała grupka zaczęła się przemieszczać w kierunku portu kosmicznego. Shearing wydawał się teraz niemal zasypiać na nogach. Wyglądało to tak, jakby włożył w realizowane zadanie całą swoją energię, przegrał, i teraz był cichy i spokojny, jak puste naczynie, czekające na ponowne napełnienie.

– Dokąd idziemy? – spytał Hyrst, a Vernon odpowiedział:

– Spotkać się z pewnym dżentelmenem, o którym nigdy pan nie słyszał, w miejscu w którym nigdy pan nie był. – Po chwili dodał ze sztuczną życzliwością. – Proszę się nie przejmować, panie Hyrst. Przeciwko *panu* nic nie mamy. Jest pan nowicjuszem w tym… hmmm… stanie życia. Nikt nie będzie żądać od pana podjęcia żadnych decyzji, ani podpisania żadnych umów, dopóki nie zapozna się pan z obiema stronami naszego sporu. Pan Shearing próbował zdobyć nieuczciwą przewagę.

Pamiętając o mrocznym, trudnym celu, jaki Shearing pozwolił mu dojrzeć w swoich myślach, Hyrst nie miał specjalnej ochoty, aby nad tym dyskutować. Wysłał jednak sondę badawczą w kierunku umysłu Vernona.

Był szczelnie zamknięty.

Szli więc dalej, w stronę wejścia do portu kosmicznego.

Rozdział III

Przed nim rozpościerał się cały kosmos, wypełniony wiszącymi różnokolorowymi ognikami gwiazd, intensywnie świecącymi w czarnej pustce. Niewątpliwie widok był niewiarygodnie wspaniały, ale był też trochę za bardzo podobny do tego, na który spoglądał zimnymi, niewidzącymi oczyma, przez całe pięćdziesiąt lat. Spojrzał w dół — w dół, względem miejsca w którym stał, w oknie bańki — i zobaczył cały Pas Asteroidów, rojących się u jego stóp, jak strumień świetlików. Zadrżał w duszy, z zimnym zawrotem głowy i odwrócił się od okna.

Vernon mówił na głos. Mówił tak już od pewnego czasu. Leżał wyciągnięty na miękkiej, głębokiej kanapie, paląc i udając, że pociąga coś z wysokiej szklanki.

– A więc, jak pan widzi, panie Hyrst, możemy panu naprawdę pomóc. Lazarycie, jednemu z nas, nie jest łatwo zdobyć pracę. Wiem coś o tym. Ludzie mają… no cóż, nazwijmy to uczuciami. Zaś pan Bellaver…

– Gdzie jest Shearing? – przerwał mu Hyrst. Podszedł bliżej i stanął na środku pokoju, czując na oczach miękkie światła, a pod stopami równie miękki dywan. Jego umysł próbował sięgnąć na zewnątrz, niespokojny i zdenerwowany, ale wydawało się mu, że został otoczony przez kurtynę mgły, która go myliła, dezorientowała i odbijała. Nie był w stanie odnaleźć Shearinga.

– Jesteśmy tutaj już od kilku godzin – powiedział. – Gdzie on jest?

– Prawdopodobnie dobija targu z panem Bellaverem. Specjalnie bym się o niego nie martwił. Tak jak już powiedziałem, Bellaver Incorporated jest zainteresowane ludźmi pańskiego pokroju. Jesteśmy największymi budowniczymi statków w całym Systemie Słonecznym i możemy sobie pozwolić…

– Wiem o tym wszystko – z niecierpliwością wtrącił się Hyrst. – Kiedy wyszedłem przez właz, stary Quentin Bellaver właśnie był zajęty połykaniem swoich konkurentów.

– A więc – niezrażony kontynuował Vernon, – powinien pan zrozumieć jak wiele możemy dla pana zrobić. Elektronika jest ważną gałęzią…

Hyrst przechadzał się bezcelowo po pokoju, spoglądając na różne przedmioty, i nie do końca je naprawdę widząc, słuchając głosu Vernona, ale nie rozumiejąc co on mówi. Stawał się coraz bardziej niespokojny. Czuł wyraźnie, że ktoś go przywołuje, ponaglająco, ale tuż poza zasięgiem jego słuchu. Nieustannie podejmował wysiłki aby odebrać to wezwanie, zarówno uszami jak i umysłem, pomimo paplaniny Vernona i bariery otaczającej jego myśli jak nieprzenikniona ściana.

W tej chwili, już od dłuższego czasu znajdowali się na pokładzie tego statku, a Shearinga nie widział na oczy, odkąd przeszli przez właz. Oczywiście, tak naprawdę to nie był statek. Nie miał własnego napędu, uzależniony był od ciągnących go potężnych holowników. Był to latający pałac przyjemności Waltera Bellavera, i chyba najbardziej szalona rzecz, jaką Hyrst kiedykolwiek widział na oczy. Vernon mówił mu, że był w stanie przyjąć na pokład, a nawet często tak bywało, trzystu do czterystu gości, mieszkających w ekstremalnym luksusie. Obecnie na statku nie było nikogo poza Bellaverem, Vernonem, Hyrstem i Shearingiem, oraz trzema bardzo precyzyjnymi ludźmi i kilkunastoma innymi, włączając w to stewardów, załogi holowników i jachtu Bellavera. Nosił nazwę *Happy Dream*, i obecnie dryfował na bardzo rzadko uczęszczanej orbicie, wysoko ponad płaszczyzną ekliptyki, pomiędzy niczym, a nigdzie.

Vernon był z nim, niemal przez cały czas. Zaczynał się już czuć mocno zmęczony panem Vernonem. Vernon, przede wszystkim, za dużo mówił.

– Niech pan posłucha – powiedział mu. – Może pan sobie darować to sprzedawanie mi tego Bellavera. Ja nie szukam pracy. Gdzie jest Shearing?

– Och, proszę przestać ciągle o tym Shearingu – odparł Vernon. Tym razem nadeszła jego kolej na zniecierpliwienie. – Jeszcze kilka dni temu nawet pan o nim nie słyszał.

– On mi pomógł.

– Ze swoich własnych powodów.

– A jaki jest *pański* powód? Albo Bellavera?

– Pan Bellaver interesuje się wieloma problemami społecznymi. A ja sam jestem przecież Lazarytą, a więc to naturalne, że czuję sympatię dla innych, do mnie podobnych. – Vernon uniósł się na chwilę i odstawił trzymaną szklankę na niski stolik. Wypił zaledwie odrobinę z jej zawartości.

– Shearing – mówił dalej – jest członkiem gangu, który jakiś czas temu ukradł pewną własność Bellaver Incorporated. Pan w żaden sposób zamieszany nie jest w ten spór, panie Hyrst. Radził bym panu, jako pański przyjaciel, trzymać się od niego z daleka.

Myśli i uszy Hyrsta wytężone były do granic możliwości, drżąc z wysiłku, aby wyłowić to znajdujące się nieco za daleko wołanie o pomoc.

– A jakiego rodzaju była to własność? – dopytywał się Hyrst.

Vernon wzruszył ramionami.

– Firma nigdy mi tego nie wyjawiła, z dosyć oczywistych powodów.

– Coś związanego ze statkami?

– Sądzę, że tak. To mnie zresztą nie obchodzi. Również i pana nie powinno, panie Hyrst.

– Naleje mi pan drinka? – poprosił Hyrst, wskazując ręką na barek, który stał obok na wpół leżącego Vernona. – No dobrze. A kiedy?

– Słucham? – spytał Vernon, odmierzając nalewaną do szklaneczki whisky.

– Kiedy była ta kradzież? – wyjaśnił Hyrst i nagle uderzył swoimi myślami w barierę. Na jedną przelotną chwilę, udało mu się wybić w niej wąziutką szczelinę.

– Jakoś ponad pięćdziesiąt… – powiedział Vernon, i odrzucił szklaneczkę. Okręcił się wokół siebie, odwracając się od barku, i już niemal zerwał się na nogi, kiedy trafiła go pięść Hyrsta. Hyrst zadał mu trzy lub cztery ciosy, zanim tamten padł na podłogę, i trzy lub cztery kolejne, zanim stracił przytomność. Wyprostował się, ciężko oddychając. Krwawiła mu warga, otarł ją więc tyłem dłoni.

– A to zadanie nieco przerosło pana, panie Vernon – złośliwie stwierdził. – Próbował pan wytłumić mój umysł i utrzymywać go pod kontrolą, przez kilka godzin.

Wepchnął Vernonowi w usta chusteczkę, związał go jego własną szarfą, którą był przepasany, i ściągnął go z widoku, chowając za wielkim łożem. Następnie ostrożnie otworzył drzwi i wyszedł z pokoju.

Na szerokim korytarzu o bogato zdobionych ścianach, nie było nikogo. Prowadziło z niego mnóstwo drzwi, a nic nie wskazywało na to, co się poza nimi znajduje, ani którędy pójść dalej. Hyrst przez dłuższą chwile stał zupełnie nieruchomo, próbując się opanować. Bariera już nie tłumiła jego myśli. Pozwolił im więc powędrować swobodnie poza nią, odkrywając, że za każdym razem kiedy to robił, szło mu coraz łatwiej. Znowu usłyszał Shearinga, tak jak słyszał go już wcześniej, kiedy na sekundę osłabł nadzór Vernona. Na jego twarzy pojawiło się napięcie, a następnie jakiś brzydki wyraz. Zaczął iść w stronę rufy *Happy Dream*.

Ten koniec korytarza zamykały ciężkie kurtyny z metalizowanej tkaniny. Poza nimi znajdowała się sala balowa, w której obecnie paliło się tylko jedno niezbyt jasne światło,

oświetlające olbrzymi, czarny, wypolerowany parkiet, oraz kryształowe okna wyglądające na kosmos. Odgłosy kroków Hyrsta były tłumione i pochłaniane przez szmer echa. Przeszedł przez środek sali, do kolejnego rzędu kurtyn, przeciskając się miedzy nimi, z najwyższą uwagą, i znalazł się na koronie amfiteatru.

W miejscu w którym stał panowała kompletna ciemność, tak wiec zamarł tam bez ruchu, badając otoczenie umysłem. Nie dostrzegał żadnych strażników. Rzędy pustych siedzeń ustawione zostały w kręgi, dookoła centralnie umiejscowionej na dole sceny, wystarczająco dużej dla wszelkiego rodzaju występów, jakie chciałby sobie urządzić pan Bellaver. Scena była jasno oświetlona, i właśnie gdzieś stamtąd, z dołu, dobiegały przerywane odgłosy rozmów.

Od strony sceny dolatywały również krzyki Shearinga. Hyrst zaczął się trząść z oburzenia i z gniewu, a jego ciągle niepewna kontrola mentalna, niebezpiecznie osłabła. Wtedy, zupełnie znikąd, w głowie przemówił mu jakiś głos, i zobaczył twarz kobiety, którą już dwukrotnie widział wcześniej, kobiety której służył Shearing.

– *Ostrożnie* – ostrzegła go. – *Z Bellavarem jest Lazaryta. Jego uwaga jest bez reszty skupiona na Shearingu, ale musisz trzymać swoje myśli pod osłoną. Pomogę ci.*

Hyrst wyszeptał:

– *Dzięki.* – Teraz był już zupełnie spokojny, czujny i skoncentrowany. Skradał się ciemnym przejściem miedzy siedzeniami, w stronę barierki balkonu na najwyższym poziomie.

W teatrze pana Bellavera, nie brakowało niczego. Duża, kolista scena, wyposażona była stojące na dole i wiszące u góry elektromagnesy, wykorzystywane przez akrobatów i tancerzy, specjalizujących się w występach w stanie nieważkości. Dzięki nim, mogli bez kłopotów występować w normalnym polu grawitacyjnym wytwarzanym na *Happy Dream,* zapewniającym wygodę siedzącym w fotelach gościom. Zręczna manipulacja polami magnetycznymi, pozwalała na jeszcze bardziej spektakularne wyczyny, niż byłoby to możliwe w przy zwykłym braku grawitacji.

Shearing był w dole, na scenie, zawieszony pomiędzy dwoma magnesami umiejscowionymi od góry i od dołu. Na ubranie założono mu akrobatyczną uprząż której paski zrobione były z magnetycznego metalu. Kiedy Hyrst wyjrzał ukradkiem ponad barierką, właśnie wisiał pośrodku pomiędzy magnesami, w punkcie w którym nie czuł swojej wagi, i gdzie ludzkie ciało unosiło się swobodnie, a wszystkie zmysły, jeżeli nie człowiek był do tych warunków przyzwyczajany przez dłuższy okres czasu, tak by się zaadaptować, miotały się w straszliwych zawrotach głowy. Shearing nie był przyzwyczajony.

– *Ostrożnie* – kobiecy głos powtórzył w jego myślach swoje ostrzeżenie. – *Jego życie jest w twoich rękach. Nie, nie próbuj się z nim kontaktować! Lazaryta natychmiast cię wyczuje…*

Gdzieś, na jakimś pulpicie sterującym zwiększono napięcie, i Shearing rozpoczął powolny ruch do góry, w stronę wyższego magnesu. Rzucał się konwulsyjnie, dodatkowo obracany w poziomie, wokół osi przechodzącej przez środek jego ciała, jak zabawka kręcona na sznurku. Przekręcony był plecami do góry, i Hyrst nie mógł dojrzeć jego twarzy.

– *Bellaver i Lazaryta* – cichym głosem powiedziała kobieta, – *próbują dowiedzieć się od Shearinga, gdzie jest nasz statek. Jak dotąd udało mu się utrzymać myśli pod osłoną. To… bardzo dzielny człowiek. Teraz jednak musisz się pośpieszyć. Jest już blisko punktu załamania.*

Shearing znajdował się już niemal na poziomie Hyrsta, zawieszony wysoko w powietrzu i patrzący w dół, na coraz bardziej odległą scenę.

– *Hyrst, musisz się pośpieszyć. Proszę. Proszę cię, zabierz go stąd, zanim będziemy musieli go zabić.*

Napięcie w magnesie zostało wyłączone, i Shearing poleciał w dół z długim, przeraźliwym krzykiem.

Hyrst spojrzał na dół. Siła odpychająca, generowana przez dolny magnes spowolniła upadek, a po chwili ponownie włączony został górny magnes, który pewnie uchwycił ciało człowieka. Shearing zatrzymał się mniej więcej trzy stopy ponad deskami sceny i znowu zaczął powoli unosić się do góry. Chyba coś krzyczał. Hyrst odwrócił się, i pobiegł z powrotem na koronę amfiteatru. Przemknął nią do połowy kręgu siedzeń, gdzie znalazł stopnie, po których ruszył na dół. Na poziomie następnego balkonu — były ich trzy — zobaczył dwóch mężczyzn opartych o szeroką barierkę, którzy z uwagą obserwowali Shearinga.

– *Tak, to oni. Musisz znaleźć jakąś broń…*

Hyrst rozglądał się dookoła, ślepiąc w ciemnościach jak kret. Fotele, nic tylko fotele. Zdobienia, ale wszystkie solidnie przymocowane. Niewielki metalowy cylinder, stojący w niszy w ścianie. Gaśnica chemiczna. Tak. Poręczna i ciężka. Zabrał ją ze sobą.

– *Pośpiesz się. On już prawie…*

Dwaj mężczyźni stali cali w napięciu i podnieceniu, a z ich oczu wyglądał wilczy głód. Jeden z nich był Lazarystą, szary człowiek, stary, uczepiony życia, a nie tego co jest w nim dobre. Drugim ze stojących mężczyzn był Bellaver, ten z kolei młody. Był wysoki i miał gładką twarz. Starannie ogolony, gustownie ubrany mężczyzna, wypisz wymaluj czystej wody, oddany społeczeństwu menedżer.

– Shearing, możemy powtórzyć, jeśli sobie tego życzysz – zawołał Bellaver, kładąc ochoczo dłonie na pulpicie sterującym, przymocowanym do szerokiej poręczy. – No więc jak?

– Zamknij się, Bellaver – powiedział na głos Lazaryta. – Już go niemal miałem. Niemal… – Jego twarz stężała w wyrazie koncentracji.

– *Teraz!*

Bezgłośny okrzyk kobiety w myślach, pchnął Hyrsta do przodu. Jego ręka wyskoczyła w górę, a następnie opadła na dół druzgocącym łukiem, wydłużonym przez ciężki cylinder gaśnicy. Lazaryta padł jak ścięty, nie wydawszy nawet żadnego dźwięku. Poleciał na Bellavera, odpychając go od panelu sterującego, i sturlał mu się na stopy, lekko krwawiąc na gruby miękki dywan. Usta i oczy Bellavera otworzyły się jak szeroko. Spojrzał na Lazarytę, a następnie na Hyrsta. Odskoczył do tyłu, usiłując uwolnić się od ciężaru przytrzymującego mu kostki, i próbując wydać pierwszy ochrypły okrzyk, wzywający pomocy. Hyrst nie dał mu czasu na jego dokończenie. Bellaver zawadził o pierwszy rząd foteli i przeleciał przez nie, a Hyrst ponownie machnął cylindrem. Bellaver stracił przytomność.

– *Czy zdążyłem*? – spytał Hyrst kobiety w swoim umyśle.

Kiedy mu odpowiedziała, wydawało ma się, że niemal krzyczy z radości.

– *Tak*!

Uśmiechnął się. Przekroczył leżącego Lazarytę, podszedł do pulpitu sterującego, i przy jego pomocy zaczął sprowadzać Shearinga na dół, dopóki tamten nie znalazł się bezpiecznie na deskach sceny. Potem wyłączył zasilanie i zbiegł po kolejnym rządku schodków, na dolny poziom. Jego umysł mógł teraz działać swobodnie. Nie wyczuwał w pobliżu nikogo więcej. Wydawało się, że na czas kiedy zajmował się Shearingiem, Bellaver wolał odesłać swoich podwładnych w jakieś inne miejsce na pokładzie *Happy Dream*. Nie było to coś, do czego człowiek potrzebowałby świadków. Hyrst przeskoczył barierkę oddzielającą scenę i wyciągnął Shearinga spod magnesu. W pełnym świetle tych wszystkich lamp, czuł się niezbyt dobrze. Ciągnął Shearinga za sobą, dopóki nie przerzucił go przez barierkę, w ciemność. Potem zdarł z niego nałożoną uprząż. Shearing słabo zaszlochał i zwymiotował.

– Dasz radę stanąć na nogach? – spytał go Hyrst. – Hej, Shearing. – Potrząsnął nim, mocno. – Wstawaj.

Sam podniósł Shearinga i na ramionach rozłożyła mu się, ważąca sto dziewięćdziesiąt funtów szmaciana kukła. Zaczął iść razem z nim, w stronę wyjścia z teatru.

– *Jesteś tam wciąż*? – spytał kobietę.

Odpowiedź w myślach nadeszła niemal natychmiast.

– *Tak. Pomogę ci w rozglądaniu się. Widzisz gdzie jest mała łódź*?

Była w kapsule pod kadłubem *Happy Dream*.

– *Widzę ją* – odparł Hyrst.

– *Weź ją. Jacht Bellavera jest szybszy, ale potrzebowałbyś załogi. Z łodzią możesz poradzić sobie sam*.

Wyprowadził Shearinga na główny korytarz rozciągający się pomiędzy dziobem a rufą statku. Nogi Shearinga z wolna zaczęły poruszać się z własnej woli, i przestało go tak mocno mdlić. Jego oczy były jednak ciągle puste, nadal też był bezwolny i oszołomiony. Przez nerwy Hyrsta przebiegały ciarki, wywołane mieszaniną przepełniającej go dzikiej satysfakcji i obawy. W oddali poczuł jak w swojej kołysce Vernon zaczyna się poruszać i przychodzić stopniowo do siebie. Gdzieś bliżej jednak również byli ludzie, i to nawet całkiem blisko. Zmusił umysł do rozejrzenia się. Dwóch bardzo precyzyjnych ludzi, którzy byli razem z Vernonem, grało właśnie w karty z dwoma innymi, najwyraźniej stewardami. Trzeci z nich rozsiadł się wygodnie w fotelu, paląc papierosa. Cała piątka siedziała w salonie, w bocznym korytarzu, tuż za rogiem. Drzwi były otwarte.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co właśnie robi, Hyrst przejął kontrolę nad umysłem Shearinga.

– Teraz tylko spokojnie. Musimy przejść koło tego rogu, bez najmniejszego szmeru. Słyszysz mnie, Shearing? Bez szmeru.

Oczy Shearinga lekko zamrugały. Zmarszczył brwi i jego krok stał się pewniejszy. Podłoga korytarza pokryta była grubą wykładziną z elastycznego plastiku, która tłumiła odgłosy kroków. Minęli narożnik. Mężczyźni nadal grali w karty. Hyrst posłał Vernonowi szyderczą obraźliwą myśl, i polecił Shearingowi, żeby się trochę pośpieszył. Schody prowadzące na dół, do kapsuły były już tuż przed nimi, dziesięć jardów, pięć…

Nieco dalej, z przodu, w korytarzu, pojawił się jakiś człowiek, wychodzący z magazynu ze opakowaniem plastikowych butelek w ręku.

– *Teraz będziecie musieli uciekać* – nadeszła myśl chłodna kobiety. – *Nie panikuj. Ciągle jeszcze może wam się udać*.

Człowiek z butelkami wrzasnął. Zaczął biec w stronę Hyrsta i Shearinga, odrzucając paczkę na podłogę, żeby mieć wolne ręce. W salonie za ich plecami, karciana impreza uległa przerwaniu. Hyrst wziął Shearinga pod ramię, zaciskając uchwyt na jego umyśle nawet jeszcze silniej niż przedtem, i wydając mu jedyne możliwe plecenie. Pobiegli razem, szybko.

Ludzie z salonu wysypali się na główny korytarz. Ich okrzyki były zdezorientowane i bardzo głośne. Z przodu, mężczyzna, który niósł wcześniej butelki, teraz znalazł się pomiędzy Hyrstem a schodami. Był to twardy mężczyzna o brązowych włosach, wyglądający na pilota. Powiedział:

– Lepiej stójcie spokojnie.

Potem zaczął się przepychać z Hyrstem i Shearingiem. We trójkę wirowali wokół siebie, w niezdarnym tańcu, z Shearingiem, poruszającym się jak automat. Hyrst i pilot zaczęli się okładać pięściami, w efekcie czego po chwili pilot klapnął twardo do tyłu, na siedzenie swoich spodni, z buchającą z nosa krwią i szklącymi się oczyma. Hyrst pomknął do schodów, popychając przed sobą Shearinga. Rzucili się nimi na dół, razem ze strzałem z pistoletu rojowego, który zabrzęczał im nad głowami. Schody na szczęście były krótkie, kończąc się na dole wejściem do włazu z podwójną pokrywą. Zanurkowali przez niego i Hyrst zatrzasnął za

nimi pokrywę, nieomal na palcach u nóg, człowieka zbiegającego ich śladem po schodach. Zamek automatyczny zaskoczył z trzaskiem. Hyrst oznajmił Shearingowi:

– Teraz możesz już się zatrzymać.

Kilka minut później, z wielkiego, bogato zdobionego kadłuba *Happy Dream*, wystrzeliła mała łódź kosmiczna, która szybko zgubiła się w usianym gwiazdami bezmiarze, powyżej Pasa Asteroid.

Rozdział IV

Nie udało im się zgubić na zbyt długo. Przy sterach siedział Shearing. Zegar wskazywał, że od czasu kiedy opuścili *Happy Dream*, upłynęło czternaście godzin i dwadzieścia siedem minut. Z czego osiem godzin Shearing spędził w swego rodzaju sztucznej śpiączce, z której obudził się praktycznie w normalnym stanie. Potem Hyrst usiadł obok niego w fotelu pneumatycznym i zapadł w ciężki sen.

Shearing uderzył go w ramię.

– Obudź się.

Po kilku kolejnych pacnięciach, Hyrst zajęczał i otworzył oczy. Wymamrotał pytanie, a Shearing w odpowiedzi wskazał wyciągnięciem ręki, na coś poza łodzią, przez szeroki, zakrzywiony port widokowy, dający pełny widok do przodu, oraz na obie strony.

– To była dobra próba – stwierdził. – Ale nie wydaje mi się, żeby miało nam się udać. Spójrz tam. Nie, bardziej do tyłu. Widzisz to? A teraz po drugiej stronie. A jeszcze jeden jest za rufą.

Ciągle senny, ale czujny Hyrst, zamiótł dookoła swoją myślową wizjosondą. To stało się już łatwiejsze niż patrzenie. Dwa szybkie, silne holowniki z *Happy Dream* i jacht Bellavera. Zmarszczył brwi, w najwyższym stopniu koncentracji.

– Bellaver jest na pokładzie jachtu. Ma na głowie potężną lalę. Jest tam z nim Vernon, trzyma szczelnie podniesione osłony. Trzech precyzyjnych ludzi i pilot, jego nos to naprawdę coś pięknego, plus załoga. W sumie dziewięciu. Po dwóch ludzi w holownikach. Ten drugi Lazaryta, ten któremu przyłożyłem, nie ma go razem z nimi.

Shearing z aprobatą pokiwał głową.

– Robisz się naprawdę dobry. A teraz rzuć okiem na nasze zbiorniki paliwa, i powiedz mi co tam widzisz?

Hyrst podniósł się wyprostowany i w pełni obudzony.

– Praktycznie – odparł, – nic.

– Ta łódka jest przeznaczona jedynie do krótkich skoków. Wystarczy nam jeszcze, być może, kolejne czterdzieści pięć minut. Mniej, jeśli będziemy za bardzo zajęci. Oni są szybsi niż my, a wiec złapią nas… no, powiedzmy, mniej więcej za pół godziny. Zbliżają się nasi przyjaciele…

– Przyjaciele?

– Pewnie. Nie myślisz chyba, ze możemy pozostawić kogoś z naszych w potrzebie. Nie własnych braci. Ale musieli lecieć tutaj z bardzo daleka. Nie możemy liczyć na spotkanie z nimi w czasie krótszym niż półtorej godziny, może nawet trochę później, jeżeli…

– Wiem – dokończył za niego Hyrst. – Jeżeli wszyscy będziemy bardzo zajęci. – Wyjrzał na zewnątrz przez port. Na początku, postępując za wskazówkami młodej kobiety — nigdy nawet nie pomyślał, żeby zapytać jak się nazywa — ustawił kurs, który zawiódł ich głęboko w jeden z najdzikszych sektorów Pasa Asteroidów. Sam nie był pilotem. Oczywiście potrafił, jak większość ludzi swoich czasów, poradzić sobie z prostym pojazdem, w prostej sytuacji, ale ta sytuacja nie należała do prostych. Łódka miała jedynie radar bliskiego zasięgu, i nie było na niej żadnych automatycznych odbijaczy uchyleniowych. Hyrst musiał lecieć na ESP, napotykając roje meteorów, asteroidy i różnego rodzaju kosmiczne śmieci, na tej jak poetycznie nazywano to piekielne miejsce, Alei Mniejszych Planet, a następnie wymyślać

sposoby jak je ominąć z boku, albo przejść przez nie, czy też nad lub pod nimi, nie rozbijając się. Shearing dał mu zmianę w samą porę.

Obrzucił groźnym spojrzeniem wirujące, lśniące kłębowisko na zewnątrz łodzi, pył, odłamki i kawałki rozbitej planety. Zbiły się wszystkie w gęstą nieprzenikliwą mgłę, tak że musiał przebijać się przez nią umysłem. Shearing trzymał stery. On również leciał na esperze. Holowniki i jacht Bellavera zmniejszały dzielący od nich dystans. Poziom paliwa w zbiornikach ciągle spadał, ponieważ łódź nie zużywała go w spokojnym swobodnym locie, ale do nieustannego manewrowania.

Hyrst przerzucił swój umysł na chwilę z powrotem na pokład, aby sprawdzić próżnio-skafandry i wyposażenie w szafie, a następnie wystrzelił ponownie na zewnątrz. Jego wizja stała się silna i swobodna. Mógł spoglądać na Słońce i podziwiać wspaniałe płomienie jego korony. Mógł oglądać Marsa, starego zimnego i wyschniętego, czy też Jowisza, potężnego, posępnego i kompletnie bezużytecznego, chyba że jako zakotwiczenie dla rodziny swoich zwariowanych księżyców. Mógł patrzeć nawet jeszcze dalej. Mógł przyglądać się poszczególnym gwiazdom. W przeciągu krótkiej chwili, jakiej potrzebowały jego myśli, mógł ogladać cale galaktyki. Serce mu waliło jak młotem, a oddech stał się gorący. Z trudem łapał powietrze w płuca. To było wspaniałe uczucie. Sprawiało, że to wszystko, co do tej pory przeżył, stawało się niemal tego warte. Wciągnęły go pierwotne bezmiary wszechświata, czarne głębiny rozświetlone złotymi płomieniami, szkarłatnymi, o wszystkich kolorach tęczy… Miał ochotę powędrować coraz to dalej, i dalej, w…

– Uczysz się za szybko – sucho oznajmił Shearing. – Zajmij się może czymś mniejszym, bliżej położonym i nie takim ślicznym, na przykład jakąś asteroidą, na której moglibyśmy wylądować.

– Znalazłem coś takiego – odparł Hyrst. – Tam.

Shearing podążył za jego mentalnym szturchnięciem.

– Cholera – powiedział, – nie mogłeś znaleźć niczego lepszego? Te Walhalle powodują u mnie dreszcze.

– Inne, które są w naszym zasięgu są albo za małe, albo nie dają żadnej osłony. Będziemy musieli troszeczkę poczekać. Wydaje mi się, że wolałbyś być jeszcze przy życiu, kiedy nadlecą nasi przyjaciele.

Nagle uderzyła ich gwałtowna myśl Vernona.

– Macie na to tylko jedną szansę, to jest poddać się, i to od razu.

– Czyżby społecznie aktywny pan Bellaver, ciągle chciał oferować mi pracę? – spytał Hyrst.

– Ostrzegam panów – zagroził Vernon.

– Pański umysł jest pełen nienawiści – odparł Hyrst. *– Niech pan go oczyści.*

Wyrzucił Vernona z taką łatwością, jakby odłożył słuchawkę telefonu. W stresowej sytuacji jego nowe umiejętności szybko się rozwijały. Poczuł lekki zawrót głowy z tego powodu. Shearing stwierdził tylko:

– Lepiej za wysoko nie podskakuj, chłopcze. Wiedz o tym, że ciągle jesteś dzieciakiem. – Potem uśmiechnął się przelotnie i dodał jeszcze: – A tak przy okazji, dzięki.

Hyrst wzruszył ramionami.

– Byłem ci to winien. A powinieneś przede wszystkim podziękować swojej pani przyjaciółce. Miała w tym swój poważny udział.

– Christina – delikatnie powiedział Shearing. – Tak.

Ostro obniżył lot łodzi, zmierzając po schodzącej krzywej, w stronę asteroidy.

– Czy nie wydaje ci się – spytał Hyrst, – że powinieneś mi teraz jednak powiedzieć, o co u licha w tym wszystkim chodzi?

Shearing wyjaśnił:
– Mamy statek międzygwiezdny.
Hyrst zapatrzył się przed siebie. Przez dłuższy czas nie odezwał się ani słowem. W końcu stwierdził:
– Macie statek międzygwiezdny? Ale przecież nikt nie ma czegoś takiego! Ludzie mówią tylko, że kiedyś tam polecą do innych gwiazd, ale nikt jeszcze tego nie próbował zrobić, nikt nawet nie byłby w stanie spróbować… – Przerwał, nagle przypominając sobie ciemny, samotny statek, oraz obserwującą go kobietę z gniewnymi oczyma. Nawet pomimo zaskoczenia, pewne sprawy zaczęły stawać się dla niego jaśniejsze. – A więc, to o to chodzi… statek międzygwiezdny. I Bellaver chce go zdobyć?
Shearing skinął głową.
– No, dobrze – podsumował Hyrst. – Mów dalej.
– Już do tej pory, od czasu kiedy wróciłeś spoza wrót, udało ci się rozwinąć pewne zadziwiające zdolności umysłowe. Wkrótce zobaczysz, że to tylko początek. Przyczyna? Promieniowanie, wystawienie na próżnię — cokolwiek. Być może wystarczył prosty akt pseudo-śmierci. W każdym razie, mózg się zmienił, przeszedł na wyższy poziom, duża część jego, normalnie nie wykorzystywanego potencjału, została uwolniona. Zawsze byłeś całkiem niezłym inżynierem. Wkrótce zobaczysz, że twój potencjał uległ wyraźnemu zwiększeniu, nawet do poziomu geniusza.
Łódka dziko szarpnęła się w bok, gdy Shearing uchylił się przed śmigającym w pobliżu odłamem skalnym, o rozmiarach drapacza chmur.
– To jest jednym z powodów, dla których chcieliśmy cię dostać, zanim zrobi to Bellaver. Liczba inżynierów, skazywanych na Humanitarną Karę nie jest zbyt wielka. My… braterstwo… potrzebujemy wszystkich z nich, których zdołamy pozyskać.
– Ale to nie był główny powód, dla którego chcieliście mnie do siebie przekonać – naciskał Hyrst.
Shearing spojrzał na niego.
– Nie. Potrzebowaliśmy cię, głownie z tego powodu, że byłeś świadkiem śmierci MacDonalda. Dobre zagranie…
Przerwał. Asteroida gnała w ich kierunku, a statki Bellavera były już tuż za nimi. Hyrst miał już na sobie próżnio-skafander, nie założył tylko hełmu.
– Przejmij stery – powiedział Shearing. – Leć dalej, tak jak dotychczas. Nie przejmuj się, to ja wyląduję. – Zaczął zakładać próżnio-skafander. – Dobre zagranie – podjął poprzednią kwestię, – możesz być kluczem do tego morderstwa, oraz do tajemnicy, która za nim stoi, a którą braterstwo *musi rozwiązać*.
Z powrotem przejął stery. Pomogli sobie nawzajem, w założeniu hełmów. Asteroida wypełniła cały port widokowy, dzikim skłębionym gąszczem różnie ubarwionych skał.
– Nie wiem tylko, jak – powiedział Hyrst do mikrofonu w swoim hełmie.
– Nieświadome wrażenia zmysłowe – krótko odparł Shearing i prześlizgnął się błyskawicznie łodzią pomiędzy dwoma wielkimi, czarnymi blokami skalnymi, a następnie wylądował ze zgrzytem metalu na skalnej płycie, gładkiej i nagiej, jak tafla lodowiska.
– Wynośmy się stąd szybko – ponaglił go Shearing. – Są już niemal dokładnie nad nami.

Łódź, jak to zauważył wcześniej Shearing, przeznaczona była do krótkich skoków, nie miała wiec odpowiednich rozmiarów, ani nośności, aby można było ją wyposażyć w śluzę powietrzną. Zakładano, że lądować się nią będzie wyłącznie w środowisku o odpowiedniej atmosferze. W przeciwnym przypadku pozostawało jedynie nacisnąć przycisk otwierania kabiny, i mocno się czegoś złapać. Powietrze z łodzi wyleciało z potężnym świstem, zabierając ze sobą wszystkie luźno leżące rzeczy. Zawarta w nim wilgoć błyskawicznie

skrystalizowała. Zanim ten zmrożony prysznic zdążył opaść, Hyrst i Shearing byli już na zewnątrz.

Przebiegli skalną płytę długimi, chwiejnymi skokami. Siła przyciągania była niewielka, a linia horyzontu widoczna była zaledwie w odległości jakichś dwudziestu mil. Niemal namacalnie, Hyrst mógł obserwować oczyma swojego umysłu, trzy statki, pędzące jak strzała, prosto w ich stronę. Nawiązał kontakt z Vernonem, wiedząc, że Shearing również tak zrobił. Vernon szukał ich.

– *Pan Bellaver ciągle wolałby panów złapać żywcem* – oznajmił. – *Jeśli poczekacie spokojnie obok łodzi, zabierzemy was na pokład.*

Shearing odesłał mu nieprzyjemną odpowiedź.

– *No i dobrze* – odparł Vernon. – *Pan Bellaver prosił mnie, abym jasno i precyzyjnie panom oznajmił, że nie ma zamiaru pozwolić wam uciec. Możecie to panowie sami sobie zinterpretować. Do zobaczenia.*

Przerwał połączenie, wiedząc, że w przeciwnym razie zamkną je Hyrst i Shearing. Hyrst zdawał sobie sprawę, że od tej chwili, będzie ich tropił w podobny sposób, jak on i Shearing wyszukiwali wcześniej przeszkody na trasie lotu, przy użyciu mentalnego „wzroku". Jacht był już bardzo blisko. Nagle Hyrst przechwycił zamazany przelotny kadr widoku ręki na dźwigni sterów, z nakładającym się na niego obrazem czarnych dysz, dolnych silników rakietowych jachtu. Zanurkował, w dosłownym sensie, w szczelinę pomiędzy jednym z bloków skalnych, a płytą opierającą się o jego podstawę, wciągając za sobą Shearinga.

Jacht jedynie przemknął w górze. Nic się nie wydarzyło. Zniknął z pola wiedzenia, hamując podczas podejścia do lądowania.

– Wyobraźnia – kwaśno stwierdził Shearing. – Zdajesz sobie sprawę z pewnych możliwości, i myślisz, że tak się stanie. Trudna sprawa. Ale nie mogę mieć do ciebie pretensji. Najlepszym sposobem działania jest sposób bezpieczny.

Hyrst wyjrzał ze szczeliny. Jeden z holowników podchodził właśnie do lądowania obok łodzi, podczas gdy drugi krążył w górze.

– I co teraz? – spytał. – Myślę, że możemy ich trochę powodzić za nos, ale nie uda nam się ukryć przed Vernonem.

Shearing zachichotał. Udało mu się z powrotem nabrać wyrazu kompetencji. Wydawał się niemal dobrze bawić całą tą sytuacją.

– Mówiłem ci, że ciągle jesteś dzieciakiem. A jak myślisz, że w jaki sposób udało nam się utrzymać w ukryciu nasz statek kosmiczny, przez te wszystkie lata? Patrz tylko.

W mgnieniu oka Hyrst stał się głuchy i ślepy. Po chwili uświadomił sobie, że to tylko jego mentalne uszy i oczy zostały zablokowane, tak jakby dookoła nich ktoś zaciągnął jakąś szczelną kurtynę. Jego fizyczne oczy, widziały ciągle ostro i wyraźnie, a kiedy w słuchawkach hełmu pojawił się głos Shearinga, słyszał go bez większego problemu.

– Nazywamy to peleryną. Wydaje mi się, że można by ją chyba określić jako rozszerzenie osłony, chociaż bardziej może przypomina pole siłowe. Nie stanowi ona żadnej przeszkody dla fizycznego wzroku, a ponadto ma jedną poważną wadę. Jest nieprzejrzysta dla energii mentalnej z obydwu stron. Ale działa jak deflektor. Gdyby Vernon chciał nas teraz śledzić, będzie miał bardzo trudny orzech do zgryzienia. Musisz tylko trzymać się blisko mnie, ponieważ nie mogę jej za szeroko rozłożyć. Teraz ty nas poprowadzisz. Ja nie mogę robić dwóch rzeczy na raz. Chodźmy już.

Hyrst nieświadomie tak się przyzwyczaił do swoich nowych możliwości postrzegania, że bez nich poczuł się otumaniony i bezradny. Poprowadził ich jedną z gładkich skalnych alej, zmierzając w kierunku przeciwnym do łodzi i holownika, który właśnie koło niej wylądował.

Po obu stronach kamiennej alei wznosiły wielkie skalne bloki, nieregularnie porozrzucane, o różnych rozmiarach i wysokości, ale wyglądające jakby umieszczono je zgodnie z jakimś uporządkowanym planem. Światło odległego Słońca kładło się na nich z

oślepiającą jasnością, tworząc tak ostre i głębokie cienie, jak gdyby zostały namalowane na skale czarnym atramentem.

W kamiennych blokach można było dostrzec twarze. Można było dostrzec potężne zarysy postaci bogów, zwierząt i ludzi, pojedynczo i w grupach, podczas walki, w pozach błagalnych, śmierci i pogrzebu. Dlatego właśnie asteroidy te nazywano Walhallami. Jak dotąd odnaleziono i przebadano dwadzieścia sześć podobnych. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć z pewnością, czy zostały one ukształtowane rękoma jakichś istot żywych. Mogły być rzeczywiście pomnikami, zniekształconymi z czasem przez pył kosmiczny i przez kolizje z miriadami odłamków krążących w Pasie. Mogły być jednak również przypadkowym żartem sił natury, utworzonymi przez jakieś oddziaływania. Nie znaleziono żadnych prawdziwych grobowców, narzędzi, ani tak do końca identyfikowalnych artefaktów. Mimo wszystko jednak, w tych pozbawionych powietrza milczących alejach, miało się wrażenie, że jakaś wędrowna rasa, zatrzymała się tu na chwilę aby stworzyć sobie pomnik bardziej trwały niż pamięć o niej, a następnie wyruszyła na wielkie morze Galaktyki, aby nigdy już nie powrócić.

Hyrst nigdy wcześniej nie był na Walhalli. Rozumiał już dlaczego Shearing nie miał ochoty tutaj lądować, i żałował, że tak zrobili. W tych smukłych, wysokich kamiennych posągach, krążących przez wieczność po swoich samotnych orbitach, nie zmierzających donikąd, nie wracających nigdzie, było coś nieodparcie smutnego i wzbudzającego obawę.

Wtedy zobaczył w górze drugi holownik. Natychmiast zapomniał o swoich snach na jawie.

– Mają zamiar działać jako obserwatorzy – stwierdził.

Shearing chrząknął, ale nic nie odpowiedział. Cały jego umysł był skoncentrowany na utrzymywaniu peleryny. Hyrst zatrzymał go tak by znajdował się w głębokim cieniu pod czymś, co wyglądało jak wysoki na sześćdziesiąt stóp posąg klęczącej kobiety. Obserwował holownik. Nieśpiesznie odlatywał gdzieś dalej, krążąc powoli, i nie wydawało się, aby ich dostrzegł. Stąd nie widział już miejsca w którym wylądowali, ale zakładał, że do tej pory jacht wykonał już zwrot w tył i przyleciał z powrotem, jeżeli nie wylądował gdzieś indziej, w pobliżu. Szacował, że szuka ich dziewięciu do jedenastu ludzi, w zależności od tego czy pozostawili jakieś straże przy statkach, czy nie. W każdym razie, i tak było to zbyt wielu.

– Posłuchaj – powiedział na głos do Shearinga. – Posłuchaj, chciałem cię o coś zapytać. To co mówiłeś o nieświadomych wrażeniach, myślisz, że mogłem widzieć albo słyszeć zabójcę, nawet kiedy byłem nieprzytomny?

– A szczególnie słyszeć. To możliwe. Z twoimi zwiększonymi możliwościami, i przy naszej pomocy, wrażenia odbierane przez kanały zmysłowe, pomimo że wtedy nie zostały świadomie zapamiętane ani rozpoznane, mogą zostać odzyskane później. – Pokręcił głową. – Nie przeszkadzaj mi teraz.

– Tak, chciałem tylko zapytać – odparł Hyrst.

Zaczął rozmyślać o swoim synu i dwu córkach, których nie miał już nadziei zobaczyć. Myślał również o Elenie. Dla niej było już za późno, aby cokolwiek zrobić, ale inni ciągle jeszcze żyli. Tak samo jak i on, i zamierzał nie dopuścić do zmiany tego stanu rzeczy, przynajmniej dopóki nie zrobi tego, co zaplanował sobie zrobić.

– Za tym zabójstwem stał stary Bellaver, co nie? Stary Quentin, dziadek tego tutaj.

– Tak. Nie przeszkadzaj mi.

– Jeszcze jedna sprawa. Czy Lazaryci żyją dłużej niż ludzie?

Shearing posłał mu krótkie, zaciekawione spojrzenie.

– Tak.

Holownik zniknął już z zasięgu wzroku, chowając się za masywnym sterczącym posągiem, stworzenia, które zdawało się trzymać między łapami rozbity statek kosmiczny.

Może jakiś symbol kosmosu? Kto to wie? Hyrst dzikimi antylopimi skokami, przeprowadził Shearinga przez otwartą przestrzeń, a następnie ruszyli wąską drogą, która wiła się, wypełniona ciemnymi miejscami, pomiędzy podstawami grupy postaci przypominających dziwaczną procesję, kroczącą za królem.

– O ile dłużej?

– Humanitarną Karę po raz pierwszy wykonano sto czternaście lat temu, nieprawda? Po tym jak udoskonalono metodę Seitza, pozwalającą na ratowanie życia kosmonautom. Byłem jednym z pierwszych, na których ją wykonano.

– Mój Boże – zawołał Hyrst. Jakimś cudem jednak, nie był aż tak zaskoczony, jak można by się spodziewać.

– Trochę się postarzałem – przepraszającym tonem oznajmił Shearing. – Miałem wtedy tylko dwadzieścia siedem lat.

Przycupnęli obok przygarbionej postaci zwierzęcia, podobnego do gigantycznej jaszczurki, z długim ogonem. Nad ich głowami przeleciał holownik, ale powoli zniknął w oddali.

Hyrst pytał dalej:

– A więc możliwe jest, że ten, który zabił MacDonalda, nadal żyje?

– Możliwe. Prawdopodobne.

Hyrst obnażył zęby, bynajmniej nie w uśmiechu.

– Dobrze – powiedział. – To mi się bardzo podoba.

Potem, na dłuższy czas przestali rozmawiać. Ich radia w hełmach skafandrów, działały praktycznie na minimalnym poziomie zasilania, a więc ich sygnał nie powinien być możliwy do odebrania poza promieniem kilku jardów, ale nawet to mogło okazać się za mało, teraz kiedy ludzie Bellavera mieli czas się zorganizować i rozproszyć po całym terenie. Wyłączyli je więc całkowicie, komunikując się tylko szarpnięciami i klepnięciami.

Hyrstowi zdawało się, że minęło mnóstwo czasu, ale mierząc dokładnie prawdopodobnie było to zaledwie niecałe pół godziny. Wędrowali od jednej łaty cienia do drugiej, podążając zmiennym kursem, który jak myślał Hyrst powinien zaprowadzić ich jak najdalej od statków. Holownik przeleciał w górze jeszcze raz, powoli, a potem Hyrst już go nie widział. Przez chwilę kołatała mu się w głowie myśl, że być może zrezygnowali z poszukiwań, ale odrzucił ją jako absurdalną. Przy wyłączonym radiu w hełmie, cisza z wolna zaczęła działać mu na nerwy. W pewnej chwili spojrzał w górę, i zobaczył kawałek gruzu kosmicznego, uderzający w kamienny blok. W górę wyleciały pył i odłamki, a wielki fragment skały oderwał się i zaczął powoli spadać w dół, podskakując i odbijając się od pozostałej jej części. A wszystko to odbywało się zupełnie bezgłośnie, jak we śnie. Nie było słychać odgłosów stawianych kroków, nie było słychać zupełnie niczego, poza rykiem własnego oddechu i waleniem własnej krwi. Groteskowe aleje skalne, mogły kryć całe armie, niewidoczne, skradające się…

W pobliżu dostrzegł wzgórze, a przynajmniej wyżej położony fragment terenu, zwieńczony czymś podobnym do gigantycznej postaci ludzkiej, leżącej na wspaniałym katafalku, ze stojącymi dookoła w żałobnej pozie, zakapturzonymi gigantami. Wydawało się, że to najlepsze miejsce do tego by się zatrzymać, jakie Hyrst do tej pory dostrzegł, z wieloma miejscami do schowania się, i dobrym widokiem na otaczający teren. Przy odrobinie szczęścia, mogliby tam pozostać w ukryciu, przez bardzo długi czas. Trącił Shearinga łokciem i pokazał to miejsce mu ręką, a Shearing przytaknął. Wokół podstawy wzgórza, rozciągał się szeroki, niemal okrągły pas otwartej skały. Hyrst ostrożnie rozejrzał się w poszukiwaniu holownika. Nie było widać nawet śladu. Ruszył przez otartą przestrzeń, prowadząc za sobą Shearinga.

Niespodziewanie w górze wyskoczył holownik, tym razem lecąc z dużą szybkością. Nie było możliwości, aby ich przegapił. Shearing z chrząknięciem zdjął z nich pelerynę.

– Do niczego nam się już nie przyda – stwierdził.

Skokami ruszyli w górę zbocza, a następnie pomiędzy lamentującymi postaciami. Holownik krążył dookoła po zacieśniającej się spirali, aż w końcu zawisł nad wzgórzem. Hyrst otarł pot z oczu. Jego umysł ponownie był jasny. Szyper holownika mówił właśnie coś do komunikatora, a w innym miejscu na asteroidzie Hyrst widział mentalnie grupę kolejnych czterech ludzi rozproszonych w cienką, rozciągniętą linię. Zebrali się razem, i zaczęli przemieszczać się w stronę wzgórza.

Kiwając głową w górę, w stronę kosmosu, Shearing powiedział:

– Nasi przyjaciele są już w drodze. Jeżeli uda nam się ich powstrzymać…

– Kiepska szansa – odparł Hyrst. – Oni są dobrze uzbrojeni, a wszystko co my mamy, to jedynie pistolety sygnałowe.

Jednak rozejrzał się uważnie dookoła. Jego oczy nie dostrzegały niczego, poza skałą poznaczoną plamami ostrego światła słonecznego i głębokimi cieniami, ale jego umysł dostrzegł, że jedna z czarnych plam u podstawy głównego kamiennego bloku, katafalku, była czymś więcej, niż tylko cieniem. Przechodziła w przypominające pasaż pęknięcie, które wyglądało raczej na wygładzone, niż postrzępione. Shearing dostrzegł je tuż po nim.

– Nie podoba mi się to – stwierdził, – ale przypuszczam, że nic na to nie możemy poradzić.

Szczelina prowadziła na dół, do jaskini, albo komnaty, zbyt nieregularnie ukształtowanej, aby można uznać ją za sztuczną, ale o zbyt gładkich ścianach i podłożu, aby mogła być naturalna. W środku nie było niczego, poza blokiem kamienia, o długości mniej więcej dziewięciu stóp, szerokości jakichś czterech stóp, i wysokości pięciu stóp. Wydawał się on być naturalną częścią podłoża, ale Hyrst w to nie wierzył. Po drugiej stronie, oświetlonej słońcem, znajdował się mały podobny do okienka otwór, wypuszczający promień oślepiającego światła, o ostrych krawędziach i w najmniejszym stopniu nie rozjaśniający panującej po jego obu stronach ciemności.

Dotarła do nich myśl Vernona, mocna, tryumfująca, rozkazująca.

– Pan Bellaver mówi mi, że macie dziesięć minut na wyjście stamtąd. Potem nie będzie litości.

Rozdział V

Minuty mijały, jedna po drugiej, kawałki wieczności, odmierzane zgodnie ze standardami zupełnie innej planety i nie mające żadnego znaczenia na tej niewielkiej wirującej skale. Wypływający z małego otworu promień światła, w widoczny sposób przesuwał się po przeciwległej ścianie. Hyrst przyglądał się temu, mrugając oczyma. Na zewnątrz ludzie Bellavera rozciągnęli się na wzgórzu przed frontem katafalku, szerokim półksiężycem. Cierpliwie czekali.

– Nie będzie litości – cicho powtórzył Hyrst. – Nie będzie litości, nieprawda? – Pochylił się i zaczął rozpinać klamry utrzymujące przy podeszwach noszonych przez niego butów, ołowiane obciążniki.

– To nie litości potrzebujemy – odparł Shearing. – Tylko czasu.

– Ile?

– Sam sobie sprawdź.

Hyrst skierował swoją uwagę na kosmos. Szybko zlokalizował w przestrzeni, zmierzający ku asteroidzie statek. Leciał szybko. Hyrst zmarszczył brwi, wykonując w głowie, bez specjalnego zastanawiania się nad tym, obliczenia które w jego poprzednim życiu wymagałyby użycia komputera.

– Dwadzieścia trzy minuty i siedemnaście sekund – stwierdził, – włączając w to te cztery, które nam pozostały.

Skończył zdejmowanie obciążników z butów. Podał jeden z nich Shearingowi. Potem na wpół się wspiął, na wpół pofrunął w górę ściany, usadawiając się ponad wejściem, gdzie znajdowała się nieznaczna nisza skalna, która dala mu oparcie.

– Shearing – powiedział.

– Tak? – Drugi z mężczyzn umiejscowił się obok wejścia do szczeliny skalnej, tak by mieć czystą drogę do każdego człowieka, który wejdzie przez nie do środka.

– Statek międzygwiezdny sugeruje plany wyprawy do innej gwiazdy. Dlaczego tego nie zrobiliście?

– Z najprostszego powodu na świecie – kwaśnym tonem oznajmił Shearing. – To cholerstwo nie może latać.

– Ale… – rozpoczął zaskoczony Hyrst.

– Nie jest jeszcze skończony. Budowaliśmy go przez ponad siedemdziesiąt lat, i mówię ci Hyrst, to był naprawdę długi i trudny proces. Wykonywaliśmy kawałek po kawałku, w ścisłej tajemnicy, a każdy element musiał być wymyślony i opracowany od podstaw, bez całego otoczenia. Potem często musiał być odrzucony, a następnie wymyślony ponownie, ponieważ nigdy wcześniej jeszcze nie sformułowano zasady funkcjonowania działającego napędu międzygwiezdnego. I ciągle jeszcze nie jest ukończony. Nie będziemy mogli go skończyć, jeżeli nie…

Przerwał i obaj mężczyźni skierowali swoją uwagę na zewnątrz.

– Bellaver patrzy właśnie na swój zegarek – skonstatował Hyrst. – No dalej, mamy jeszcze minutkę.

Shearing podjął więc przerwany wątek.

– … jeżeli nie zdobędziemy dostatecznie dużej partii tytanitu, aby zbudować przekaźniki przesunięcia hiperprzestrzennego. Żadna inna substancja nie ma dostatecznie szybkiego czasu

reakcji, i niezbędnej pojemności elektrycznej. Musieliśmy pospalać tysiące różnych układów testowych, zanim do tego doszliśmy.

– Nie możecie go gdzieś kupić? – spytał Hyrst. Pytanie brzmiało rozsądnie, ale już w trakcie jego zadawania zdał sobie sprawę, z tego jakie było głupie. – To znaczy, wiem że ta substancja jest rzadziej spotykana niż prawdziwa cnota, i kosztuje astronomiczne sumy. To właśnie dlatego MacDonald był taki szczęśliwy, z powodu jej znalezienia, ale…

– Bellaver Corporation miała oko na te rzeczy, zanim jeszcze nawet pomyśleliśmy o naszym statku. Właśnie to spowodowało ten cały bałagan wokół nas. Paru naszych ludzi, nie mówię oczywiście, że mieli zamiar narozrabiać, próbowało kupić trochę od Bellavera, normalną drogą. Jeden z nich musiał nie zachować należytej ostrożności, co do swoich osłon, ponieważ pracujący dla Bellavera Lazaryta wychwycił jakieś sugestie mentalne dotyczące statku, i powody dla których potrzebujemy tytanitu, no i to wystarczyło. Trzy generacje Bellaverów ścigają nas, w poszukiwaniu napędu międzygwiezdnego, co spowodowało wybuch potajemnej wojny, takiej zaciekłej, jak jeszcze żadna inna walka toczona na polach bitew. Oni trzymają pod kluczem cały tytanit, a my mamy statek. Może teraz, zaczynasz już rozumieć, dlaczego MacDonald został zabity, i dlaczego jesteś taką ważną osobą dla obu stron.

– Zaczynam – odparł Hyrst. – Ale dopiero zaczynam.

– MacDonald odnalazł żyłę tytanitu. Jak wiesz, złoża tytanitu nie są specjalnie duże. Jeden człowiek może wydobyć surowy materiał, wsadzić go do worka i wytaszczyć go na własnych plecach, nawet jeśli nie ma ze sobą sani energetycznych.

– MacDonald miał sanie.

– No i pewnie z nich skorzystał. Wyczyścił złoże, obawiając się, że ktoś inny mógłby go wyśledzić w drodze do niego, i schował gdzieś tę nieszczęsną rudę. Potem zaczął handel. Kontaktował się z Bellaver Corporation, i w ten sposób dowiedzieliśmy się o nim, a następnie próbowaliśmy skontaktować się *z nim*. Próbował nas rozgrywać przeciwko Bellaverowi, aby podbić cenę, i nagle był już martwy, a ty zostałeś oskarżony o to morderstwo. Myśleliśmy, że naprawdę to zrobiłeś, ponieważ żaden tytanit nie wypłynął na rynku, a wiedzieliśmy, że Bellaver też go od niego nie dostał. Powinniśmy bliżej się temu przyjrzeć. Dopiero parę lat później, jeden z naszych ludzi dowiedział się, że MacDonald trochę za bardzo groził sprzedaniem tytanitu nam, żądając aby Bellaver praktycznie potroił swoją ofertę, no i oczywiście Bellaver nie mógł sobie na to pozwolić. Cena tak dalece przekraczająca rozsądek, nawet za tytanit, mogłaby wzbudzić wśród konkurencyjnych firm budujących statki, niepożądaną ciekawość. A więc, jak się domyślamy, Bellaver kazał go zabić.

– Ale co się stało z tytanitem?

– Tego właśnie – stwierdził Shearing, – nie wie nikt. Bellaver musiał pomyśleć, że jeśli jego oswojony Lazaryta nie zdoła wykryć, gdzie MacDonald go schował, to my również nie damy rady. Miał zupełną rację. Nawet przy pomocy naszych połączonych sond umysłowych i konwencjonalnych detektorów, nie byliśmy w stanie tego wyśledzić. Nie byliśmy w stanie również znaleźć żadnych nowych złóż. Bellaver Corporation zdobyła prawo wyłączności na prace górnicze, na całym tym przeklętym księżycu. Obecnie są nawet posiadaczami przetwórni.

Hyrst pokręcił niedowierzająco głową.

– Podświadome wrażenia zmysłowe, czy nie, nie widzę możliwości, jak mógłbym w tym pomóc. Jeżeli MacDonald dał swojemu zabójcy jakąś wskazówkę…

Promień jasnego niebieskiego światła, cieńszy niż ołówek, wystrzelił przez otwór wejściowy. Liznął bok dużego kamiennego bloku. Kamień zaczął się topić i spływać, a kiedy

promień zniknął, miejsce trafienia przez chwilę świeciło na czerwono. Widząc to Shearing stwierdził:

– Chyba nasze dziesięć minut właśnie się skończyło.

Rzeczywiście się skończyło. Minęła kolejna sekunda czy dwie, w czasie których nic się nie działo, a następnie Hyrst zobaczył jakiś obiekt wpadający przez szczelinę. Umysł podpowiedział mu co to jest, w ostatniej chwili, by zdążyć zamknąć oczy. Błysk, który potem nastąpił, oślepił go nawet przez zamknięte powieki, przechodząc we wcale nie słabnący stały blask. Ludzie Bellavera wrzucili do środka flarę o długim czasie działania, i niemal natychmiast ktoś za nią ruszył, w nadziei zaskoczenia Hyrsta i Shearinga oślepionych i bezradnych. Oczy umysłu Hyrsta, którym nie przeszkadzało oślepiające światło, wyraźnie pokazały mu znajdującą się tuż pod nim postać, której bańka hełmu otoczona była jasno świecąca osłoną. Pozwoliło mu to wycelować w niego z idealną dokładnością i rzucić w dół drugim z ołowianych obciążników, które zdjął z butów, i który ciągle trzymał w dłoni. Bańka hełmu jest bardzo odporna, a siła przyciągania na asteroidzie raczej niewielka, ale uderzenie w głowę było dostatecznie mocne, aby człowiek upadł na ziemię nieprzytomny. Właśnie coś takiego, pomyślał sobie Hyrst, przydarzyło mi się w wieży wyciągarki, kiedy zabity został MacDonald. Shearing, który do tej pory włączył już swoją własną świecącą osłonę, szybko się nachylił i zabrał leżącemu człowiekowi broń.

Powiedział na głos, przez komunikator hełmu.

– Następny z was, który tu wejdzie, dostanie z tego. Słyszysz mnie, Bellaver?

Głos Bellavera odpowiedział pośpiesznie.

– Niech pan posłucha, Shearing, myliłem się. Przyznaję to. Usiądźmy spokojnie i zacznijmy wszystko od początku. Ja…

– Dziesięć minut temu miało nie być litości.

– Trudno mi zachować się rozsądnie, kiedy mówimy o tych sprawach. Wie pan przecież, co to dla mnie znaczy, co to znaczyło dla mojego ojca, i *jego* ojca. Ale skłonny jestem zrobić wszystko, panie Shearing, żebyśmy dobili targu.

– Dobiję z panem targu. Natychmiast. Z ochotą. Proszę oddać nam to, co ukradł pański dziadek, i uznamy sprawę za załatwioną.

– O, nie, nie możemy – ponuro wtrącił się Hyrst. – Nie, dopóki nie dowiem się, kto zabił MacDonalda.

– W porządku – odparł Bellaver. – Wilson, przygotuj granaty.

Całe ciało Hyrsta zalało się zimnym potem. Przez jedną, wywołaną paniką, chwilę, chciał wyskoczyć ze szczeliny, błagając o litość. Potem przystawił nogi do ściany i mocno się od niej odepchnął, pokonując całą komnatę w czymś w rodzaju skoku połączonego z lotem. Shearing niemal jednocześnie znalazł się w tym samym miejscu i pomógł mu wylądować. Przycisnęli się do podłoża, mając między sobą a szczeliną kamienny blok w kształcie trumny. Hyrst wysłał szaleńcze mentalne wezwanie o pośpiech, skierowane do statku kosmicznego braterstwa.

– Oni przez cały czas się śpieszą – powiedział mu Shearing. – Vernon teraz dowiedział się o statku. Właśnie mówi o nim Bellaverowi. Nadlatuje granat…

Mały, okrągły śmiercionośny przedmiot, lekko i wdzięcznie leciał po idealnej krzywej przez pozbawiony powietrza mrok. Zbliżał się tak wolno, a na jego widok całe ciało kurczyło się w sobie z drżeniem, aż do chwili kiedy nie stało się workiem pełnym czystego przerażenia. Na zewnątrz, ludzie uciekali jak najdalej, a ten który rzucił granat z niewidocznego, dającego dobrą pozycję, miejsca w szczelinie, biegł za nimi. Jednocześnie w swoim umyśle usłyszał głos krzyczącego Shearinga: Niech będzie za krótki, *Niech będzie za kr*…

Potem wszystko zalała olbrzymia jasność, skała podskoczyła, ale nie wydając najmniejszego dźwięku.

Rozdział VI

„Baran, Byk, Bliźnięta dwa,
Potem Rak i blask Lwa.
Panna, Waga…”

Przez myśli Hyrsta przebiegała w kółko ta stara zodiakalna wyliczanka, i tak prawdę mówiąc, to była jedyna rzecz w jego umyśle.

Panna i Waga.

Tak. A w dodatku jest również naprawdę piękna, pomyślał Hyrst. Ale nie powinna *trzymać* szal tej wagi. To wszystko jest nie tak. Waga jest po niej, a potem Skorpion… Scorpio… i Strzelec… Sagittarius…

A w każdym razie to nie powinna być prawdziwa waga, tylko para dużych złotych gwiazd, a ona je odkłada i stapiają się razem. Teraz jest już tylko jedna, i to w ogóle nie jest gwiazda, naprawdę. To błyszczący metalowy dzban, odbijający światło, i…

Panna uśmiechnęła się.

– Doktor powiedział, że wracasz do siebie. Przyniosłam ci coś do picia.

Rzeczywistość wróciła do Hyrsta w mgnieniu oka.

– To ty jesteś Christina – powiedział i spróbował usiąść. Kręciło mu się w głowie, więc trochę mu pomogła, a potem dodał: – Myślę, że rzeczywiście był za krótki.

– Co?

– Rzut granatem. Ostatnia rzecz, jaka zapamiętałem, to że Shearing… Zaraz. Gdzie jest Shearing?

– Siedzi w salonie, opatrując swoje potłuczenia. Tak, był za krótki, ale nie wydaje mi się, żeby telekineza miała z tym wiele wspólnego. Nigdy nie byliśmy w stanie przekonująco skutecznie kontrolować materii. Proszę. Dobre?

– Znakomite. Jak nas stamtąd wydostaliście?

– Oczywiście granat całkowicie zatarasował wejście. Musieliśmy wyciąć sobie drogę przez boczną ścianę. Mieliśmy czysty teren. Wszyscy ludzie Bellavera wcześniej wrócili już na swoje statki. Myśleli, że zginęliście tam, i żeby tak prawdę powiedzieć, to nam również tak się wydawało. Ale nie do końca „wyczuwaliśmy” oznaki waszej śmierci, a więc was odkopaliśmy.

– Dzięki – odparł Hyrst. – Pewnie już się zorientowali, że jest inaczej.

Leżał w ambulatorium na statku. Na podstawie z nieregularnego trzeszczenia i drżenia bocznych silników, domyślał się, że muszą z najwyższą szybkością, przedzierać się przez Pas Asteroidów. Hyrst rzucił wzrokiem do tyłu, w kosmos. Holowniki Bellavera i jacht leciały za nimi, ale jedynie jacht miał szansę dotrzymać im kroku. Holowniki beznadziejnie pozostawały z tyłu.

– Tak, dowiedzieli się natychmiast jak tylko was wyciągnęliśmy, ale przy odrobinie szczęścia, zgubimy ich – stwierdziła Christina. Usiadła obok niego na łóżku, tak by mogła widzieć jego twarz. – Shearing opowiedział ci o statku.

– Statek międzygwiezdny. Tak. – Popatrzył na nią. Nagle roześmiał się. – Ty w ogóle nie jesteś boginią

– A kto ci coś takiego naopowiadał?

– Shearing. A w każdym razie, jego umysł. Dziesięć stóp wysokości i ukoronowana przez gwiazdy… Wręcz bałem się spotkania z tobą. – Nachylił się do niej bliżej. – A jednak, twoje oczy. Są pełne gniewu.

– Twoje będą tak samo – powiedziała, – kiedy twoja walka z Bellaverem potrwa tak długo, jak nasza.

– Nadal są pewne rzeczy, których nie rozumiem. Dlaczego zbudowaliście ten statek, dlaczego trzymaliście to w tajemnicy przed wszystkimi, nie tylko przed Bellaverem, co planujecie z tym wszystkim zrobić… w jaki sposób można stać się jednym z Braterstwa.

Roześmiała się.

– Metoda Seitza została wynaleziona, aby ratować ofiary wypadków, zamrożone w kosmosie. Pamiętasz? Jednak zaledwie nieliczni z nas nigdy przeszli przez właz, winni, czy też niewinni. Ale kiedy wraca się stamtąd, to nie sprawia żadnej różnicy. – Położyła swoją rękę na jego. – Uczyłeś się szybko, ale jesteś dopiero na początku drogi. Nie ma potrzeby używania między nami słów. Otwórz swój umysł…

Zrobił o co prosiła. Początkowo niewiele różniło się to od kontaktu z umysłem Shearinga, albo Christiny wcześniej, na *Happy Dream*. Myśli dobiegały do niego jasno, ubrane w zdania.

– Chcesz wiedzieć dlaczego budujemy statek, co planujemy z nim zrobić… – i dopiero po pewnym czasie zorientował się, że słowa znikły, a on odbiera emocje Christiny, jej wspomnienia i opinie, jej rozczarowania i jej marzenia, tak prosto i bezpośrednio, jak gdyby należały do niego.

Jak dotychczas, nie miałeś jeszcze czasu, powiedziały mu one bez słów, uświadomić sobie jak bardzo jesteś samotny. Nie próbowałeś, tak jak na początku robiła większość z nas, ponownie być człowiekiem, wpasować się w nurt życia, tak jakby nie było żadnej przerwy w czasie, jakby nic się nie zmieniło. Nie widziałeś jak ludzie wokół ciebie robią się starzy, podczas gdy tobie zaledwie nieco poszarzały włosy. Nie musiałeś przenosić się z jednego miejsca w drugie, zmieniać pracy, jednej grupy przyjaciół na inną, ponieważ wcześniej czy później wyczuwali oni, że coś jest z tobą nie w porządku. Nie musiałeś ukrywać swoich nowych możliwości, tak jakbyś skrywał jakąś chorobę, ponieważ ludzie, gdyby się o nich dowiedzieli, baliby się ciebie i nienawidzili, a być może nawet zabili. Dlatego właśnie powstało braterstwo. I dlatego właśnie zbudowaliśmy ten statek.

Symbol lotu. Symbol wolności. Szeroki ponad wszelkie wyobrażenia wszechświat, pełen wielokolorowych gwiazd, nowych planet gdzie człowiek, w otoczeniu innych ludzi, może zbudować sobie własne społeczeństwo. *Żadnych granic, poza które umysł nie ośmielałby się wykroczyć. Cały kosmos, cały czas, cała wiedza – wszystko wolne*!

Jeszcze raz przed oczyma stanęły mu te szerokie morza pomiędzy gwiazdami. Jego umysł ścigał się z jej, poprzez jaśniejące zimnym ogniem mgławice, wirował oślepiony i oszołomiony wokół rojących się gwiazd Herkulesa, spoglądał z żarliwą fascynacją na wspaniałe zwoje spirali Andromedy. Czy dla nieuchwytnych sił umysłu są może jakieś nieosiągalne obszary czasu i przestrzeni?

Wtedy ten szalony lot się zakończył, a zamiast niego pojawiła się, zamglona i jedynie na wpół uświadomiona, mniejsza wizja, domów i ulic, miejsca w którym mogliby żyć, i być tym czym byli, otwarcie i bez strachu.

– Czy teraz już rozumiesz – spytała go, *– o czym oni sobie pomyślą, jeżeli dowiedzą się o naszym statku? Czy rozumiesz, że będą się obawiać, że to my skolonizujemy kosmos, obawiać tego, czego moglibyśmy dokonać?*

Zrozumiał. Jeżeli prawda wyjdzie na jaw to, co najmniej, Lazaryci nigdy już nie będą wolni. Zostaliby zabrani, byliby badani, studiowani, na ich temat przygotowywano by

wykłady. Powstałyby dla nich specjalne prawa. Byliby ograniczeni, kontrolowani i wykorzystywani. Być może nawet uczciwie by im zapłacono za statek i wszystkie inne wynalazki, jakich mogliby dokonać, ale nigdy by im nie pozwolono z nich skorzystać.

Z nagłą gwałtowną zapalczywością Hyrst oznajmił:

– Ale przede wszystkim muszę się dowiedzieć, kto zabił MacDonalda. Shearing mówił mi o nieświadomych wrażeniach. Jestem gotów.

Wstała, mierząc go poważnym spojrzeniem.

– Nie ma żadnej gwarancji, że to da jakieś efekty. Czasami działa to bardzo dobrze. Czasami nie.

Hyrst pomyślał o zmęczonym człowieku o szarych włosach, który stał u stóp jego łóżka.

– To będzie działać. Musi.

Po chwili dodał:

– Jeśli to nie wyjdzie, wydrę z Bellavera prawdę, własnymi rękoma.

– Być może do tego dojdzie – stwierdziła ponurym tonem. – Ale miejmy nadzieję, że nie. Leż spokojnie. Ja wszystko przygotuję.

Godzinę później, Hyrst leżał na miękkim stole ustawionym na środku ambulatorium. Statek wirował i skakał, jakby w jakimś szaleńczym tańcu, a więc Hyrst został przypięty pasami, żeby zapobiec stoczeniu się na podłogę. Wiedział, że statek manewruje w obszarze najgęstszych rojów meteorów w Pasie, z czterema pilotami sprzężonymi umysłami i lecącymi na esperze, próbując zniechęcić Bellavera do dalszego pościgu. Dwóch innych ludzi blokowało Vernona, i mieli nadzieję, że albo sam Bellaver, albo jego radarowy system deflektorów antymeteorowych, w końcu się poddadzą. Hyrst wiedział o tym wszystkim, ale w tej chwili nic go to nie obchodziło. Ledwie zdawał sobie sprawę z gwałtownych przechyłów statku. Podano mu pewnego rodzaju narkotyk i leżał odprężony i otwarty. Wszystkie jego troski zniknęły w przyjemnym zawieszeniu. Spoglądał rozmytym wzrokiem na pochylające się nad nim twarze. Wreszcie zamknął oczy, i nawet one odpłynęły.

Szedł z MacDonaldem pokrytą metanowym śniegiem równiną, rozciągającą się pod wspaniale świecącymi Pierścieniami. Z początku wszystko było nieco zamazane, ale stopniowo pamięć się wyostrzała, aż w końcu każdy, najmniejszy nawet detal, stał się bardziej wyraźny, niż był przed laty — tekstura materiału z którego zrobiony był skafander MacDonalda, minimalne cienie podkreślające każdą nierówność leżącego śniegu, dokładne wrażenia z wędrówki w podołowiowanych butach, szepty i poświstywanie systemu dostarczania tlenu. Ponownie spierał się z MacDonaldem, nie roniąc żadnego słowa. Wszedł z nim do wieży wyciągarki Numer Trzy, sprawdził lampki kontrolne, i uśmiechnięty usiadł na ławce, aby poczekać.

Pocił się wewnątrz swojego skafandra. Kiedy wrócą do kwater mieszkalnych, zaraz weźmie prysznic. Miał ochotę zapalić. Cały hełm wypełniały mu nieustanne narzekania i przekleństwa MacDonalda. Słuchał ich z dużą uciechą. Mam nadzieję, że walniesz się w palucha swoim własnym młotkiem. I życzę ci szczęścia z tą twoją fortuną. Jeżeli masz tyle samo przyjaciół bogatych, ilu masz biednych, to nie masz żadnych. Zaczęło swędzieć go pod lewą pachą. Docisnął skafander prawą ręką i zaczął ocierać się o niego ciałem. Zupełnie nic to nie dało. Cholerne skafandry. Cholerny Tytan. Elena ma szczęście, że siedzi sobie z dzieciakami w domu, na Ziemi. Ale tutaj zarabia się dobre pieniądze. Jeszcze trochę cierpliwości, a będę mógł wrócić do domu i żyć sobie jak człowiek. Teraz zaczął swędzić go nos, a MacDonald ciągle narzekał. Rozległ się najcichszy cień dźwięku, potem *trach,* a później już nic, ciemność, zimno, uczucie zapadania, olbrzymiej słabości, koniec. Nic, nic. Odzyskuję przytomność w zimnej ciszy i spoglądam w dół, do szybu na MacDonalda, a on leży martwy.

– Cofnij się troszeczkę. Powoli. Tak dobrze. Spokojnie. Z powrotem do Eleny i dzieci.

Szczęśliwa Elena, w słońcu, cieple, w słodkim powietrzu. Szczęśliwe dzieciaki. Ale ja również jestem szczęśliwy. Wkrótce będę mógł do nich wrócić. Nos mnie swędzi. Dlaczego człowieka zawsze swędzi nos, kiedy ma na głowie hełm, albo jego ręce są całe w smarze? Posłuchaj MacDonalda, klnącego na pas, klnącego na narzędzia, klnącego na wszystko co mu wpadnie w oko. Czy to odgłos kroku? Atmosfera jest rzadka i trująca, ale przenosi dźwięki. Czy ktoś podchodzi mnie od tyłu? Ułamek sekundy, nie ma czasu na to, aby się obejrzeć lub pomyśleć. *Trzask*. Ziemno. Ciemność. Nicość.

– Jeszcze raz się cofnijmy. Nie śpiesz się. Mamy tyle czasu, ile będzie nam potrzebne. Wróć do odgłosów kroków, które usłyszałeś za sobą.

Niemal usłyszałem. A potem straciłem przytomność i odpłynąłem. Ciężka. Płaska podłoga. Ciężka twarz. Ciężka twarz opiera się o hełm, zimno. Leżę na podłodze. Muszę się podnieść, muszę się podnieść, niebezpieczeństwo. Nie da rady. Nie mogę. MacDonald wrzeszczy. Zostaw tę windę, co ty robisz, Hyrst? Hyrst! Zamknij się, ty chciwy mały człowieczku, i posłuchaj. Ty nie jesteś Hyrst… kim jesteś? To nie ma znaczenia. Wiem, że jesteś od Bellavera. Bellaver cię wysłał, żebyś ukradł tytanit. No dobra, i tak go nie dostaniesz. Jest w takim miejscu, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie, chyba że ja pokażę mu jak. Dobrze. To naprawdę dobrze, MacDonald. Tego właśnie chciałem się dowiedzieć. Widzisz, *my* nie potrzebujemy twojego tytanitu.

MacDonald znowu wrzeszczy i winda zjeżdża na dół z rykiem i grzechotem spuszczonego łańcucha.

Ciężkie odgłosy kroków, wstrząsają podłogą, a przy tym moją głową. Ktoś mnie przekręca, coś do mnie mówi, nisko się nachylając. Światło jest szare i dziwne. Próbuję wstać. Nie mogę. Człowiek jest usatysfakcjonowany. Zostawia mnie i odchodzi, ale zobaczyłem jego twarz. Twarz wewnątrz jego hełmu. Słyszę jak wali narzędziami w jakąś metalową rzecz. Coś pogwizduje cichutko pod nosem. MacDonald już nie wrzeszczy. Od czasu do czasu tylko popiskuje. Ale ja widziałem twarz zabójcy.

Widziałem jego twarz.

Widziałem…

– Spokojnie, Hyrst. Nie śpiesz się.

Elena jest już martwa, a to Christina pochyla się nade mną.

Widziałem twarz zabójcy.

To była twarz Vernona.

Rozdział VII

Koło stołu, pochylając się nad nim, stali Christina, Shearing, oraz dwie inne osoby, których nie znał. Narkotyk powoli przestawał działać, i Hyrst widział ich już trochę wyraźniej. Dostrzegł w ich oczach duże rozczarowanie.

– Czy to wszystko? – spytała Christina. – Jesteś tego pewien? Cofnijmy się może jeszcze raz…

Ponownie go cofnęli, ale usłyszeli tylko jeszcze raz to samo.

– To wszystko, co powiedział MacDonald? A więc nie zbliżyliśmy się do tytanitu nawet na krok.

Hyrsta kompletnie nie obchodził tytanit.

– Vernon – wycharczał. Wzbierało w nim coś gorącego i dzikiego, próbował zerwać przytrzymujące go pasy. – Vernon. Dopadnę go…

– Później, Hyrst – przerwał mu Shearing i westchnął. – Poleż sobie jeszcze przez chwilę. On jest na jachcie Bellavera, pamiętasz? Całkowicie poza naszym zasięgiem. Pomyśl teraz. MacDonald powiedział, że go nie znajdziesz, że jest tam, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie…

– No i co z tego? – wzdychając powiedziała Christina. – To i tak była słaba nadzieja. Umierający ludzie zazwyczaj nie rysują dokładnych mapek. – Usiadła na brzegu łóżka i ukryła twarz w dłoniach. – Chyba możemy sobie dać z tym spokój. Dobrze o tym wiesz.

Jeden z dwóch Lazarytów, którzy zajmowali się sondowaniem podświadomości Hyrsta, stwierdził z desperacką nadzieją:

– Być może jeśli pozwolimy mu przez chwilę odpocząć, a potem jeszcze raz spróbujemy…

– Dajcie mi wstać z tego stołu – wymamrotał Hyrst, nadal oszołomiony narkotykiem. – Chcę dorwać Vernona.

– Pomogę ci go dopaść – obiecał Shearing, – jeśli powiesz mi, co MacDonald mógł mieć na myśli, mówiąc, że *nikt go nigdy nie znajdzie, chyba że on mu pokaże jak*.

– A skąd u diabła mam wiedzieć? – Hyrst szarpnął za pasy, z wściekłością. – Pozwólcie mi stąd wstać.

– Przecież znałeś dobrze MacDonalda Pracowałeś z nim i u jego boku, przez całe lata.

– Czy to niby ma mi powiedzieć, gdzie ukrył ten tytanit? Nie bądź osłem, Shearing. Pozwólcie mi wstać.

– Ale – spokojnie przypomniał Shearing, – on nie powiedział *gdzie*, on powiedział *jak*.

– Czy to nie jest to samo?

– A jest? Posłuchaj tylko. Nikt go nigdy nie znajdzie, chyba że ja pokażę mu gdzie. Nikt go nigdy nie znajdzie, chyba że ja pokażę mu jak.

Hyrst przestał się szarpać z pasami. Zmarszczył brwi i zaczął się zastanawiać. Christina znowu uniosła głowę. Dwaj Lazaryci, którzy wykonali sondowanie, stali zupełnie nieruchomo i wstrzymywali oddech.

Myśli Shearinga dotknęły Hyrsta, poklepując go jakby uspokajająco.

– Pomyślmy o tym przez chwilę. Pozwól swoim myślom popłynąć swobodnie. MacDonald był inżynierem. Inżynierem. Z całej waszej czwórki, on jeden znał każdy cal fizycznej konstrukcji przetwórni. A więc?

– Tak, ale nadal to nam nie mówi, gdzie… Chociaż, poczekaj chwileczkę. Gdyby tak po prostu wepchnął tytanit gdzieś do jakiejś dziury gdzieś w górach, wiedziałby, że można go

będzie wykryć przy pomocy detektora, i to dużo łatwiej niż wcześniej, zanim go wykopał. Musiał więc umieścić go gdzieś głęboko, głębiej niż sam dałby radę wykopać. Może w jakiejś porzuconej kopalni?

– Żadne z takich miejsc – odparł Shearing, – nie jest za głębokie dla naszej sondy. Sprawdziliśmy każdą opuszczoną kopalnię na tej stronie Tytana. A poza tym, to i tak nie za bardzo pasuje. Nie. Próbuj dalej.

– Nie przyniósłby tego tytanitu do przetwórni. Któryś z nas z pewnością musiałby go znaleźć. Oczywiście, chyba że…

Hyrst przerwał i temperatura napięcia w ambulatorium, podskoczyła o kolejny stopień. Statek ostro szarpnął, zatoczył się i skoczył do przodu z ogłuszającym grzmotem silników rakietowych. Hyrst zamknął oczy, intensywnie myśląc.

– Chyba że umieścił go w jakimś miejscu, tak niebezpiecznym, że nikt nigdy tam nie chodzi. Miejscu do którego nawet on sam by nie wszedł, ale o którym wiedział, ponieważ był inżynierem.

– Czy myślisz o jakimś konkretnym miejscu, które by odpowiadało temu opisowi?

– Tak – powoli powiedział Hyrst. – Podziemne zasobniki magazynowe. One zawsze są gorące, nawet kiedy stoją puste. Cokolwiek zostałoby schowane w ich pobliżu, byłoby otulone przez otoczkę promieniowania. Żaden detektor nie wykryłby niczego, poza uranem. Prawdopodobnie nawet wy nie dalibyście rady.

– Nie – stwierdził Shearing, wyglądający na bardzo zaskoczonego. – Prawdopodobnie nie dalibyśmy. Radioaktywne zakłócenia, byłyby za silne, aby się przez nie przedostać, nawet gdybyśmy czegoś pod nimi szukali, a tego nie robiliśmy.

Christina poderwała się do góry. Nachyliła się nad Hyrstem i dopytując się gorączkowo:

– Ale czy jest jakiś sposób, żeby to zrobić? Oczywiście nie mógł włożyć tytanitu bezpośrednio do zasobnika razem z uranem. Nawet gdyby nie stało się nic innego, to zostałby wysłany następnym tankowcem.

– O, pewnie – odparł Hyrst. – Znalazłoby się na to kilka sposobów. Sam byłbym w stanie parę wymyślić, nawet gdybym nie znał wcześniej szczegółów. O ile wiem, szyb windy konserwacyjnej, schodzi prosto do mechanizmu podajnika, a tam jest coś w rodzaju systemu tuneli rozprowadzających i urządzenie awaryjne, które w przypadku gdy poziom promieniowania staje się zbyt wysoki, załącza się automatycznie i wypuszcza do nich materiał nasączony płynnym grafitem. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek to musiało być wykorzystane, ale to niezbędne zabezpieczenie. Znalazłoby się tam mnóstwo miejsc do ukrycia ołowianego pudła pełnego tytanitu.

– *Chyba że ja pokażę mu jak* – powtórzył powoli Shearing, i zaczął rozpinać paski, które mocowały Hyrsta do stołu. – Te słowa mają jakiś złowieszczy wydźwięk. Założę się, że znalezienie tytanitu będzie dziecinnie łatwe w porównaniu z jego wydostaniem. No cóż, zrobimy wszystko, co się da.

– Po pierwsze – ponuro stwierdziła Christina, – musimy pozbyć się Bellavera. Jeżeli poweźmie choćby najmniejszy cień podejrzeń gdzie lecimy, wyśle przodem wiadomości przez radio i postawi całego Tytana na nogi.

Hyrst, siedząc już na brzegu stołu i trzymając się go mocno, z powodu kołysania statku, powiedział:

– To prawda… To on jest teraz właścicielem przetwórni, tak? Ona ciągle działa?

– Nie. Kopalnie wokół niej wypadły z gry, jakieś dziesięć, piętnaście lat temu. Cała działalność przesunęła się na północ i na wschód, na drugą stronę gór. To właśnie może stwarzać szansę dla nas. – Shearing przetoczył się z Hyrstem po wierzgającym pokładzie, usiadł okrakiem na łóżku, spoglądając na niego skupionym wzrokiem. – Hyrst, chciałbym,

żebyś przypomniał sobie wszystko co się da, odnośnie tej przetwórni. Jej plan, gdzie dokładnie są poszczególne budynki, wyciągarki, lądowisko. Wszystko.

Hyrst odparł, pokazując końce zębów:

– A kiedy dostanę Vernona?

– Dostaniesz go. Obiecuję ci.

– A co z Bellaverem? Ciągle nas ściga.

Shearing uśmiechnął się.

– To będzie zadanie Christiny. Niech ona się tym martwi.

Hyrst przytaknął głową. Zaczął przypominać sobie plan przetwórni. Christina i pozostała dwójka, wyszli z ambulatorium.

Nieco później, wydarzyło się wiele rzeczy, raptownie i szybko jedna za drugą. Statek Lazarytów, podążający swoim dziko i gwałtownie zmieniającym się kursem, poprzez roje gruzu kosmicznego dryfującego w Pasie, był daleko z przodu przed jachtem Bellavera, ale ciągle w zasięgu przyrządów. Najwyraźniej w akcie desperacji, rzucił się nagle w kierunku skupiska wielkich, postrzępionych skał, lecąc przez cały czas z szaloną szybkością. Skupisko miało może ze dwieście mil średnicy. Statek Lazarytów zwijał się przez pewien czas w gwałtownych zwrotach i skrętach, następnie w miejscu w którym się znajdował wykwitł jasny rozbłysk płomieni, a potem zapadła ciemność.

– Eksplodowały im silniki – oznajmił z radością Bellaver, stojący na mostku swojego jachtu. Przyrządy zgubiły kontakt ze ściganymi, głównie z tego powodu, że skupisko było bardzo gęste, i niemożliwe było odróżnienie jednego obiektu od drugiego.

Vernon przyznał:

– Nie blokują już mojego umysłu. To się urwało w jednej chwili.

Nadal jednak miał wątpliwości.

– Czy możesz zlokalizować statek – spytał Bellaver.

– Cały czas próbuję.

Bellaver złapał go za ramię.

– Spójrz tam!

Właśnie rozbłysnął drugi, większy i jaśniejszy kłąb płomieni.

– Uderzyli w asteroidę – stwierdził. – Koniec z nimi.

– Nie mogę ich zlokalizować – protestował Vernon. – Ani statku, ani wraku. To mogła być sztuczka. Być może utrzymują pelerynę.

– Sztuczka? – odparł Bellaver. – Bardzo w to wątpię. W każdym razie i tak kończy nam się paliwo, a poza tym nie mam zamiaru wchodzić do tej kupy gruzu, i ryzykować swoją głową, żeby się o tym przekonać. Jeżeli jakimś trafem jeszcze kiedyś się pojawią, to wtedy się nimi zajmiemy.

Obaj jednak czujnie obserwowali skupisko, do chwili, kiedy odleciało poza zasięg wzroku. Ale ani ich oczy, ani przyrządy statku, ani nawet sondujący umysł Vernona, nie były w stanie wychwycić żadnych oznak życia.

Rozdział VIII

U ich stóp leżał Tytan, skapany w świetle Saturna, ozdobiony jego fantastycznymi wspaniałymi Pierścieniami. Brzydki, odpychający świat, postrzępionych wierzchołków górskich i lśniących równin pokrytych trującym śniegiem. Na powierzchni księżyca lądowali małą tratwą ratunkową nerwowo podskakującą, pod uderzeniami rzadkiej atmosfery. Hyrst trzymał się mocno uchwytu, próbując nie zwymiotować. Odzwyczaił się już nieco od trudów życia w kosmosie, i już poprzedni rejs łodzią, był wystarczająco nieprzyjemny. Teraz zaś, nie mając wokół siebie pewnych ścian kadłuba statku, a z przodu wręcz wyłącznie zakrzywioną osłonę, czuł się jak mrówka na lecącym liściu.

– Też tego nie lubię – pocieszył go Shearing. – Ale daje nam to pięćdziesięcioprocentowe szanse, że przedostaniemy się niezauważeni. Radary zwykle nie są ustawione na coś tak małego.

– *Ja* rozumiem powody – odparł Hyrst. – Ale mój żołądek jest wyjątkowo tępy.

Rozpoznałby teren wokół przetwórni, nawet mając pod sobą milion mil zawrotnej wysokości. Statek Lazarytów był gdzieś w górze i z tyłu, kryjąc się w Pierścieniach. Sztuczka zadziałała na Bellavera, wtedy w Pasie, i teraz również mieli nadzieję, że będzie działać na jego obserwatorów na Tytanie. Tym razem nie było potrzeby imitowania fałszywych eksplozji, które miały sprawiać wrażenie zniszczenia statku. Zachowanie tajemnicy polegało na trzymaniu języka za zębami, oraz osłonięciu każdej, najmniejszej nawet iskierki, płomieni silników rakietowych i wszystkich świateł na statku. Później, kiedy Hyrst i Shearing wykonają swoją misję, statek miał szybko wylądować i zabrać ich razem z tytanitem, zanim jakikolwiek pojazd patrolowy, będzie miał czas aby dolecieć na to miejsce.

A przynajmniej taką mieli nadzieję.

Budynki przetwórni były ciemne i zimne, całe poodkształcane z powodu nagromadzonego na nich cienkiego, ale aktywnego śniegu. Pajęczyna dróg na równinie, zupełnie zniknęła, a lądowisko było gładkie i nieoznaczone. Jedynie na jego obwodzie sześć wystających wież wyciągarek, stało jak samotni strażnicy, zakapturzeni i otuleni w płaszcze.

Hyrst poczuł nagły ucisk w gardle, i była to ostatnia rzecz,, jakiej się spodziewał. Przetwórnia na Tytanie nie była czymś, do czego można było czuć jakieś specjalne sentymenty. Była ona jednak tak bardzo związana z innymi sprawami, z nadziejami na przyszłość, które teraz zostały już tak daleko za nim, z planami związanymi z Eleną i dzieciakami, które teraz zmieniły się w okrutną kpinę, z przyjacielskimi wspomnieniami Saula i Landersa, którzy teraz od tak dawna już nie żyli, że nie mógł na nią patrzeć bez wzruszenia.

– Spróbujmy jeszcze raz – cicho zaproponował Shearing. – Gdyby udało nam się dokładniej określić miejsce ukrycia tytanitu, to byłaby duża różnica. Z trudem znajdziemy czas na przeszukanie wszystkich sześciu zasobników.

Zadowolony z tego, że ma się czym zająć, Hyrst spróbował pomyśleć. Połączył swój umysł z Shearingiem, i próbowali przebadać taką podwójną sondą jedną po drugiej, wszystkie sześć wież wyciągarek i znajdujące się pod nimi zasobniki, podczas gdy tratwa opadała na dół, ze świstem powietrza.

Wyniki były takie same, jak w przypadku wszystkich poprzednich prób. Zasobniki były puste już od ponad dziesięciu lat, ale promieniowanie szczątkowe ciągle było dostatecznie

silne do tego, aby utrzymać przed oczyma umysłu lśniącą mgiełkę, zakrywającą wszystko dookoła.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Hyrst. – Pomyślmy trochę. Zobacz jak rozmieszczone są te wyciągarki, takim szerokim półksiężycem. Gdybyś był MacDonaldem, wracającym z gór z ładunkiem tytanitu, i chciałbyś aby nikt cię nie zobaczył, to którą z nich byś wybrał?

– Albo Jeden, albo Sześć – bez wahania odparł Shearing. – One znajdują się w największej odległości od budynków.

– Ale Numer Sześć położona jest na zachodnim końcu półksiężyca, i aby do niej dotrzeć, trzeba przedostać się przez całe lądowisko. – Wskazał mentalnie na Numer Jeden. – Założę się, że to będzie ta. Przyjrzymy się jej jeszcze raz?

Tak też zrobili. Tym razem, na jedną, ulotną sekundę, Hyrstowi wydawało się, że coś ma.

– Mnie również – powiedział Shearing. – Tak jakby z dołu i z tyłu.

– Zgadza się – potwierdził Hyrst. – *Uważaj*! – Jego mimowolny okrzyk wywołany został nagłą kolizją tratwy ratunkowej z chmurą. Opar był bardzo gęsty, i po surowej przejrzystości przestrzeni kosmicznej, Hyrstowi wydawało się, że się udusi. Shearing poruszył prostymi sterami tratwy, i po minucie lub dwóch, byli już pod chmurą, schodząc spiralnie w dół, w stronę lądowiska. Padał śnieg.

– Dobrze – stwierdził Shearing. – Miejmy nadzieję, że się utrzyma.

Wylądowali w pobliżu wyciągarki Numer Jeden i szybko przebrnęli przez niewysokie zaspy, niosąc ze sobą wszystkie niezbędne rzeczy. Aby zapobiec korozji, właz został uszczelniony sprayem z masy plastycznej, i musieli poświęcić kilka minut na jego otwarcie. Wewnątrz wieży, panowały egipskie ciemności, ale oni nie potrzebowali światła. Inne zmysły zupełnie wyraźnie pokazały im wytarte metalowe stopnie schodów. Panele ze wskaźnikami, znajdujące się w górnej komorze, były ciemne i martwe. Hyrst poczuł przebiegający pod tkaniną skafandra dreszcz. To było już tak strasznie dawno, tyle lat temu.

– Bierzmy się do roboty – ponaglił Shearing.

Wyciągnęli przyniesione ze sobą z tratwy, kombinezony antyradiacyjne. Pozbawiona zasilania winda była bezużyteczna, Ale po wyrzuceniu z klatki wszystkich znajdujących się w niej narzędzi, była ona na tyle lekka, że dwóch silnych ludzi mogło ją odchylić, odsłaniając szyb windy. Upewnili się, że trzyma się pewnie i opuścili na dół lekką składaną drabinkę. Hyrst jako pierwszy wślizgnął się do gładkiej, okrągłej, niczym nieoświetlonej dziury, z której usunięto jeden segment ściany, równoległy do mechanizmu windy.

– Tylko ostrożnie – powiedział Shearing i wślizgnął się za nim.

W niezgrabnym próżnio-skafandrze z założonym kombinezonem antyradiacyjnym, Hyrst schodził po drabince z bolesną powolnością. Każdy impuls w jego mózgu i ciele krzyczał, aby się śpieszyć, ale wiedział że pośpiech spowoduje tylko, że znajdzie się na dole szybu, tak samo martwy jak MacDonald. Stuknięcia i uderzenia o metalową ścianę, spowodowane ich zejściem, w zamkniętej przestrzeni szybu wywoływały ponury głuchy łomot, a Hyrstowi wydawało się, że milczące pasy i kable wyciągarki szumią lekko z sympatią. Prawdopodobnie to był tylko szum krwi w jego uszach.

– Widzisz już coś?

– Nie.

Silna, widmowa poświata zasobnika, w miarę jak się do niego zbliżali, stawała się coraz bardziej intensywna. Wyciągarka nadal była „gorąca”, i ona również świeciła, ale było to niczym w porównaniu z koncentracją promieniowania w zasobniku.

– Nawet w kombinezonach antyradiacyjnych, nie możemy tutaj za długo siedzieć.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli. MacDonald też był tylko człowiekiem, a zbiornik zasobnika był wtedy pełen. On również nie mógłby zostać tutaj przez dłuższy czas.

– Widzisz może już coś?

– Nic poza mgłą. Kiedy będziesz na dole, lepiej włącz światło.

Wreszcie Hyrst poczuł pod butami dno szybu. Stanął obok drabinki i włączył wiszącą na pasku lampę. Tym razem oczy fizyczne działały lepiej niż mentalne, nie były bowiem tak wrażliwe na promieniowanie. Natychmiast wyraźnie zobaczył przekładnie i łańcuchy mechanizmu podajnika, po otwartej stronie szybu. Shearing również zszedł już z drabinki i włączył swoje własne światło.

– Gdzie to było, to coś, co widzieliśmy?

– Na dole i z tyłu.

Hyrst obrócił się powoli wokół siebie, rozglądając się. Szyb był nienaruszony, z wyjątkiem otworu naprawczego. Przeszedł przez niego, z pewną trudnością, ponieważ zakładano, że raczej nikt tam nie będzie wchodził, a cały mechanizm był tak rozmieszczony, aby łatwo było wszędzie sięgnąć z windy, przy pomocy narzędzi. Sam zasobnik był dokładnie naprzeciw nich, duży zbiornik głęboko wycięty w solidnej skale i obsługujący podajnik przy pomocy zwykłego oddziaływania grawitacyjnego. Podajnik niemal całkowicie wypełniał własną komorę skalną. Obok niego, może dałoby się znaleźć miejsce na jakąś niezbyt dużą rzecz, ale pierwszy człowiek, który zjechałby windą na dół, zaraz by to zobaczył, nawet specjalnie się nie rozglądając.

Shearing wskazał ręką. Po jednej stronie, w skale wybita była ciemna dziura. Hyrst próbował zajrzeć do niej mentalnym wzrokiem, ale „mgła" była wyjątkowo gęsta i jasna…

Zobaczył to. Nierzeczywisty, widmowy cień, ale właśnie tam. Kanciasta skrzynia, jakieś dwadzieścia stóp w głąb tunelu.

Shearing złapał szybki, płytki oddech.

– Chodźmy.

Weszli do tunelu, kuląc się i ocierając o jego wąskie ściany.

– Uważaj na pułapki dla naiwnych.

– Nie wiedzę żadnej… jak na razie.

Skrzynia stała na środku tunelu. Nie było możliwości, żeby ją obejść, ani żeby zajrzeć ponad nią, nie kładąc się na niej i przeczołgując pomiędzy nią a niskim stropem. Hyrst i Shearing zamknęli oczy.

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że widzę przewód. Przeklęta mgła. Nie widać, dokąd prowadzi…

Hyrst odpiął od pasa przecinak i ostrożnie wślizgnął się na skrzynię. Serce waliło mu z całej siły, a ręka trzęsła się tak, że miał duże trudności z przystawieniem przecinaka do drutu. Przewód przymocowany był do tyłu skrzyni, przymocowany bardzo prymitywnie i pośpiesznie, przy pomocy stopionej kropli plastiku. Dopiero w chwili kiedy dotknął drutu gołą krawędzią ostrza przecinaka, uświadomił sobie, że plastik nie jest metalem, a przewód jest nieizolowany. Wtedy jednak, oczywiście było już za późno.

Gdzieś tam z przodu musiało być ukryte jakieś proste źródło energii, doładowujące się przez cały czas z wykorzystaniem silnego promieniowania. Przecinak wyleciał z ręki Hyrsta w strumieniu iskier, a ciemności tunelu za skrzynią rozbłysły gwałtownym ogniem eksplozji i podmuchem pyłu. Fakla uderzeniowa, na szczęście niezbyt silna, walnęła w hełm Hyrsta. Shealling krzyknął raz, a jego protest urwał się w pół krzyku. Potem czekali nieruchomo.

Pył opadł. Krótkotrwałe drgania skały, ucichły

W sklepieniu tunelu, w miejscu gdzie nastąpił wybuch, zwisała połamana zapadnia pułapki, ale z góry nie spadło nic poza garścią czarnego pyłu.

Hyrst zaczął śmiać się jak szalony. Leżał na brzuchu na skrzyni z tytanitem i śmiał się do łez. Ich krople leciały mu z oczu, spływały po nosie i skapywały na wyściółkę wewnątrz

hełmu. Shearing łupnął go z tyłu. Uderzał go, dopóki nie przestał się śmiać. Potem Hyrst pokręcił głową i powiedział:

– Biedny MacDonald.

– Taaa. No dalej, teraz możesz przeciąć ten przewód.

– Taka śliczna pułapka. Ale nie myślał, że tak długo to potrwa. Shearing, rozumiesz? Oni wynieśli się stąd. A kiedy się wynosili, wypompowali płynny grafit ze zbiorników, i zabrali go ze sobą. A więc nie zostało ani trochę, żeby zalać tunel. Patetyczne, nieprawdaż?

Shearing znowu go uderzył.

– Przetnij ten przewód.

Przeciął go w końcu. Przepychali się w kierunku wyjścia z tunelu, ciągnąc za sobą skrzynię. Kiedy znaleźli się z powrotem w szybie, gdzie było miejsce aby ją otworzyć, natychmiast to zrobili.

– Nie wygląda jakoś specjalnie, jak na tyle problemów, jakie spowodował, co?

– Nie, nie wygląda. Ale również złoto tak nie wygląda, ani uran, ani garść małych suchych nasion. – Shearing uniósł kawałek chropowatej, szarawej rudy. – Hyrst, czy wiesz co to oznacza? To oznacza gwiazdy.

Teraz nadeszła kolej Hyrsta, aby uspokoić Shearinga szturchnięciem. Statek międzygwiezdny i związane z nim marzenia, dla niego były ciągle jedynie intelektualną ciekawostką. Rozdzielili tytanit do dwóch worków z paskami. Dzięki temu ładunek dla każdego z nich stał się niewielki, po przypięciu z tyłu, do pasów, niemal niezauważalny.

Hyrst nagle poczuł dużą nerwowość. Być może było to odreagowanie, może też wspomnienie uwięzienia w podobnej dziurze na asteroidzie Walhalli. A może było to czarnowidztwo umysłu, wywołane radioaktywną „mgłą”. W każdym razie zaczął wspinać się po drabinie, z niemal samobójczą szybkością, ponaglając idącego za nim Shearinga. Szyb wydawał się ciągnąć przez całe mile. W miarę jak wchodził coraz wyżej, miał wrażenie, że wydłuża się przed nim, tak że w ogóle nie zbliżał się do jego szczytu. Zdawał sobie sprawę, że to jedynie kwestia wyobraźni, ponieważ mijał oznaczenia kolejnych poziomów, ale to co przeżywał obecnie, było od czasu jego przebudzenia, rzeczą najbliższą koszmarowi sennemu. Kiedy minęli oznaczenie Poziomu E, odezwał się Shearing:

– Wylądował jakiś statek.

Hyrst spojrzał umysłem. Efekt mgły nie był już taki silny, i widział całkiem wyraźnie. To był mały statek, z którego właśnie wychodziło dwóch ludzi. Śnieg przestał padać.

– Mimo wszystko jednak radar musiał wychwycić tratwę – powiedział Shearing. – Albo może ktoś zauważył odrzut rakiet. – Zaczął wspinać się szybciej. – Lepiej wyjdźmy stąd, zanim wejdą do środka.

Poziom D. Ręce Hyrsta, wewnątrz rękawic, zrobiły się zimne i sztywne, zamieniając się w niezgrabne haki do chwytania cienkich szczebli. Dwaj mężczyźni stali na zewnątrz na śniegu, rozglądając się dookoła.

Poziom C. Jeden z nich zauważył tratwę zaparkowaną koło wieżyczki wyciągarki. Wskazał na nią ręką, i obaj ruszyli w jej kierunku.

Poziom B. But Hyrsta ześlizgnął się ze szczebla i uderzył ścianę szybu, waląc w nią z całej siły.

– Chryste – wysapał Shearing. – Bębnisz jak dzwon kościelny. Co ty wyrabiasz? Chcesz zaalarmować cały księżyc?

Mężczyźni na zewnątrz pochylili się nad tratwą. Obejrzeli ją ze wszystkich stron. Potem popatrzyli na wieżę wyciągarki. Zostawili tratwę i zaczęli biec w jej stronę, wyciągając zza pasa broń.

Poziom A. Oddech Hyrsta ryczał mu w hełmie jak huragan. Pomyślał o długiej drodze w dół, jaka znajdowała się pod nim, o tym jak na dnie szybu wyglądał MacDonald, oraz że jeśli spadnie, może pociągnąć za sobą Shearinga, i nikt nie poleci do gwiazd, a Vernon pozostanie na wolności. Zacisnął zęby, jęknął w duszy i wchodził dalej. Na zewnątrz, dwaj mężczyźni ostrożnie otworzyli właz i weszli do wieży.

Koniec drabinki. Równa podłoga, na której można się wyciągnąć. Hyrst wyczołgał się z szybu. Przez chwilę myślał, że zemdleje i nerwowo wymacał zawór tlenowy, wzbogacając mieszankę. W głowie zaczęło mu się przejaśniać. Shearing był już obok niego. Tym razem oni również mieli broń. Shearing przekazał mu szybkie mentalne ostrzeżenie.

– *Nie, dopóki nie będziesz musiał.*

Jeden z dwóch mężczyzn ostrożnie umieścił stopę na stopniu schodów, prowadzących w górę, do miejsca w którym byli. Drugi z mężczyzn był tuż za nim. Shearing ostrożnie wycelował i wystrzelił, z połową mocy.

Ostre niebieskie wyładowanie nie trafiło żadnego z mężczyzn. Ale potoczyli się do tyłu, w chmurze płonących szczątków metalu, i kiedy Shearing natychmiast zawołał na nich, żeby rzucili broń i wynosili się stąd, na wpół sparaliżowani od wstrząsu, zrobili to bez protestu. Hyrst i Shearing zeskoczyli ze schodów, zatrzymując się tylko na chwilę, aby podnieść ich pistolety. Wyszli na zewnątrz. Dwóch mężczyzn uciekało tak szybko jak tylko mogli w stronę swojego statku., ale nie dotarli daleko. Shearing zastopował ich kolejnym strzałem, który wzbił im niemal spod stóp gejzer metanowej pary.

– Jeszcze nie – powiedział. – Trochę później.

Dwaj mężczyźni stali ponuro, ale posłusznie. Obaj byli młodzi i nie wyglądali źle. Po prostu wykonywali swoją pracę, pomyślał sobie Hyrst. Nie mieli zamiaru nikomu zrobić krzywdy, po prostu wykonywali swoją pracę, tak jak wielu innych ludzi, którzy nigdy nie zatrzymali się, aby pomyśleć, co ta praca oznacza. Obaj na próżnio-skafandrach mieli insygnia Bellavera.

Jeden z nich oznajmił, tak jakby recytował wyuczoną lekcję, którą osobiście nie był tak naprawdę zainteresowany.

– Naruszacie prywatną własność. Zostaniecie za to postawieni przed sadem i ukarani z największą surowością.

– Pewnie, pewnie – odparł Shearing. Skinął ręką w stronę wieży wyciągarki. – Z powrotem do środka.

Młodzi ludzie zawahali się.

– Co zamierzacie z nami zrobić?

– Nic strasznego. Wydostanie się z powrotem na zewnątrz nie powinno zająć wam więcej niż pół godziny.

Poprowadził ich do włazu i dopilnował, żeby weszli do środka. Hyrst obserwował niebo, czarne błyszczące of gwiazd niebo, które przecinał wspaniały łuk Pierścieni. A nad wschodnim horyzontem wyłaniał się i robił coraz większy, fragment mleczno-opalizującej krzywizny Saturna.

– *Już lecą* – powiedział w myślach do Shearinga.

– *Dobrze.* – Zaczął już zamykać właz, kiedy jeden z młodych ludzi nagle wskazał na worek, przypięty do pasa Shearinga.

– Wy coś kradniecie.

– Powiedzcie to Bellaverowi.

– Może pan się założyć, że to zrobię. Z największą surowością, proszę pana. Z największą surowością…

Właz zamknął się. Shearing zablokował mechanizm otwierający, tak że nie mógł być obrócony od środka. Potem podszedł i stanął obok Hyrsta, na błyszczącej równinie, obserwując statek schodzący w dół, z Pierścieni.

Hyrst powiedział:
– Oni poinformują Bellavera.
– Naturalnie.
– Co zrobi Bellaver?
– Nie jestem pewien. Coś drastycznego. Tam bardzo chce zdobyć nasz statek, że zamordowałby własne dzieci, żeby dostać go w ręce. Potrafisz chyba zrozumieć dlaczego. Już sam w sobie jest bezcenny, wyprzedza swoje czasy o sto lat, ale to jeszcze nie wszystko. Chodzi o to, co on reprezentuje. Dla nas oznacza on wolność i bezpieczeństwo. Dla Bellavera, oznacza…
Wskazał gestem na niebo, a Hyrst skinął potwierdzająco głową, widząc w umyśle Shearinga obraz gigantycznego Bellavera, dziesięciokrotnie większego od Boga, ogarniającego swoimi rękoma całą galaktykę.
– Życzę wam szczęścia – oznajmił Hyrst. Odpiął worek z tytanitem od pasa i podał go Shearingowi. – Pomimo wszystko oczyszczenie tego materiału i zbudowanie przekaźników, zajmie wam trochę czasu. Być może uda mi się zdążyć. Wróćcie po mnie jeśli będziecie mogli.
– Vernon?
– Tak.
Shearing pokiwał głową.
– Powiedziałem, że pomogę ci go dopaść. I tak zrobię.
– Nie. To moja robota. Ty należysz tam, do nich. Do Christiny.
– Hyrst. Posłuchaj…
– Nie mów mi tylko, gdzie jest statek międzygwiezdny. Mógłbym nie wytrzymać tak dobrze jak ty.
– W porządku, ale Hyrst… w przypadku gdybyśmy nie mogli po ciebie wrócić… szukaj nas daleko od Słońca. Nie w jego kierunku.
– Będę pamiętał.
Statek wylądował. Shearing wszedł do środka, niosąc tytanit. A Hyrst odszedł w drugą stronę, w stronę zamkniętych i pogrzebanych w śniegu budynków przetwórni.
Ponownie zaczął sypać śnieg.

Rozdział IX

Było tu zimno i ciemno, ale przede wszystkim niesamowicie smutno. Hyrst wędrował przez puste pomieszczenia, czując się jak duch, i podobnie myśląc. Wszystko co było w budynkach, zostało usunięte. Kwatery mieszkalne zmieniły się w nic więcej, tylko grobowce dla mnóstwa wspomnień, zupełnie pozbawione jakiekolwiek ludzkiego albo swojskiego wyrazu. Hyrstowi zdawało się to bardzo dziwne. Ciągle sobie powtarzał, że upłynęło pięćdziesiąt lat, ale nie mógł w to tak do końca uwierzyć. Miał przecież wrażenie, że od śmierci MacDonalda minęło zaledwie kilka miesięcy, miesięcy wypełnionych dochodzeniem, rozprawą sądową i wzburzeniem, daremną udręką z powodu niesprawiedliwego oskarżenia. Dla umysłu nieświadomego mijającego czasu, długi okres pseudo-śmierci, był niczym nocny sen. Teraz więc wydawało mu się, że Saul i Landers powinni ciągle gdzieś tutaj być, że powinno być tu pełno światła, ciepła i ruchu.

Nie było niczego. Nie mógł zmusić się do pozostania w kwaterach mieszkalnych. Poszedł więc do jednego z magazynów, usiadł na betonowej belce i czekał. To było długie i straszne oczekiwanie. Przez cały czas w jego umyśle szalały emocjonalne burze, wywołane morderstwem i jego następstwami. Przed oczyma stawały mu sceny z Saulem i Landersem. Sceny ze śledczymi, z rodziną MacDonalda, z prawnikami i reporterami. Sceny z Eleną. Cały ten straszliwy koszmar, w nieunikniony sposób prowadzący do momentu kulminacyjnego, kiedy otworzyły się wrota śluzy powietrznej i dołączył do śpiących na równinie. Kiedy wszystko to się skończyło, Hyrst czuł się wstrząśnięty i wyczerpany ale spokojny. W jego umyśle jasno płonęła twarz Vernona.

Nie przejmując się otwieraniem okrytych stalowymi okiennicami okien, przyglądał się jak dwóch młodych ludzi wydostaje się z wieży wyciągarki. Obserwował ich jak biegną do swojego statku i w podnieceniu wykrzykują przez radio. W odpowiednim czasie, dużo później, do lądowiska z wyciem powietrza zbliżył się jacht Bellavera, i wylądował na nim wyrzucając z silników potężne strugi płomieni. Był w stanie przypatrywać się mu niemal z chłodną obojętnością widza. Z powodu Vernona bardzo uważnie pilnował swoich osłon, trzymając je szczelnie zamknięte, i nie wydawało mu się, by drugi Lazaryta mógł go zauważyć. Vernon zresztą wydawał się być w pełni zajęty Bellaverem.

– A co innego mogliby jeszcze tu ukraść, ty głupcze! Powinieneś zabić Hyrsta już wcześniej, kiedy miałeś na to szansę.

– Na kogoś trzeba zwalić winę za sprawę MacDonalda. Tym niemniej, to ty miałeś go na pokładzie *Happy Dream*. Dlaczego wypuściłeś go z rąk?

– Nie rozmawiaj ze mną w tak bezczelny sposób, Vernon. W każdej chwili mogę cię oddać w ręce policji, za setki różnych sprawek.

– Nie bez twojego udziału, Bellaver.

– Może i tak byłoby warto. – Ciąg brzydkich określeń, wygłaszanych z wściekłym wrzaskiem. – Nie potrafiłeś odnaleźć tytanitu, a oni to zrobili, i to niemal natychmiast jak tylko dostali Hyrsta.

– W porządku, Panie Boże, Wszechmogący Bellaverze, wydaj mnie im. Ale jeśli to co zabrali, to był tytanit, to beze mnie nie będziesz miał najmniejszej szansy odnalezienia tego statku.

– Jak dotąd, nie spisywałeś się jakoś specjalnie dobrze.

– W tym całym podekscytowaniu, mogą stać się nieostrożni. Ale to już zależy od ciebie.

Kolejne brzydkie słowa, ale Bellaver nie powtórzył już swojej groźby. On, Vernon i paru innych ludzi założyli próżnio-skafandry i pomaszerowali przez śnieg do wieży wyciągarki. Z wewnątrz zimnego, ciemnego, zagrzebanego w śniegu budynku, Hyrst obserwował ich, mocno i szybko się zastanawiając. Uśmiechał się zimno. Wkrótce wyszedł z budynku i ostrożnie krążąc ruszył przez śnieżny półmrok dopóki nie znalazł się w zasięgu ich komunikatorów w hełmach. Mógł ich teraz słyszeć zwyczajnie, ale nadal obserwował ich ma sposób esperów.

Sprawdzili pustą ołowianą skrzynię, a młodzi ludzie opowiedzieli o tym, co się stało. Bellaver zwrócił swoją wściekłość i furię przeciwko nim. Nie było już najmniejszej wątpliwości, że tytanit został odnaleziony i zabrany stąd, a Bellaver zdawał sobie sprawę, że gwiazdy, planety i księżyce, łup w postaci jasno świecącej galaktyki, zaczął wysuwać mu się z rąk. Groził młodym ludziom każdą możliwą karą, jaką był w stanie wymyślić, za to że nie zatrzymali złodziei. Jeden z młodych ludzi zrobił się blady i straszliwie się wystraszył, drugi jednak poczerwieniał jak cegła i przystawił swoją pięść blisko hełmu Bellavera.

– A idź pan do diabła – zawołał. – I nie obchodzi mnie, kim pan jest. Idź pan do diabła.

I wyszedł z wieży wyciągarki, razem ze swoim towarzyszem depczącym mu po piętach, podczas gdy Bellaver ciągle wrzeszczał za nimi. Ludzie Bellavera wydawali się wstrząśnięci i spoglądali na niego pogardliwie, a Vernon wręcz otwarcie się śmiał, pokazując końcówki zębów.

Dwaj młodzi ludzie wsiedli do swojego statku i odlecieli. Bellaver odwrócił się i stał przyglądając się pustej skrzyni. W tej chwili wyglądał na wyczerpanego i pozbawionego nadziei, jak dziecko, które miało się właśnie załamać i zacząć płakać. Vernon podszedł do niego i kopnął pudełko.

– Hyrst miał przewagę – stwierdził. – Znał MacDonalda i znał przetwórnię. Nawet pomimo tego, to musiało być czystą zgadywanką. Nikt nie zdołałby się przebić przez tę mgłę.

– Co teraz zrobimy? – spytał Bellaver. – Vernon, co my teraz zrobimy?

W tym momencie po raz pierwszy odezwał się Hyrst, jego głos zabrzmiał w ich uszach donośnie i wstrząsająco.

– Nie pan nie pyta o to Vernona – powiedział. – Proszę zapytać mnie.

Nastąpiła chwila kompletnej ciszy. Hyrst poczuł jak umysł Vernona ociera się o jego, i pozwolił sobie na jeden, okrutny błysk tryumfu. Potem wszyscy zaczęli mówić na raz. Vernon wyjaśniał dlaczego nie zauważył Hyrsta — kto mógłby pomyśleć, że zostanie tutaj, w takiej chwili jak ta? Marynarze Bellavera nerwowo złapali za swoją broń i rozglądali się dookoła, a sam Bellaver krzyczał.

– Hyrst! Czy to pan, Hyrst? Gdzie pan jest?

– Jestem w miejscu z którego mogę bez trudu zastrzelić każdego, kto wyjdzie z wieży, i gdzie nikt nigdy nie dostanie mnie z jachtu. Proszę rozkazać im, żeby zostali ma miejscu. No dalej, Bellaver, chciał pan coś ode mnie usłyszeć, nieprawdaż?

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Mogę znaleźć dla pana ten statek międzygwiezdny. Niech pan wyda im rozkazy, Bellaver.

Bellaver wydał odpowiednie rozkazy. A Vernon próbował przekonać Bellavera:

– Gdyby on chciał zdradzić swoich przyjaciół, to dlaczego dałby im ten tytanit? – Roześmiał się głośno. – To nie jest nawet dobra sztuczka.

– O tak, jest – delikatnie odparł Hyrst. – I to bardzo dobra. Najlepsza. Widzi pan, mnie nie obchodzi żaden statek międzygwiezdny, ani tytanit. Interesuje mnie wyłącznie ten człowiek, który zabił MacDonalda. Oczywiście związane jest z tym wiele różnych rzeczy. Vernon, czy słyszał pan może kiedyś o nieświadomych wrażeniach? Byłem nieprzytomny, ale

moje oczy widziały, moje uszy słyszały, a mój mózg zapamiętał, kiedy pokazano mi jak do tego dotrzeć.

– To było pięćdziesiąt lat temu – stwierdził Vernon. – Ludzie nie rozumieją nas. Nikt panu nie uwierzy, nawet jeśli pan to rozgłosi.

– Owszem, uwierzą, jeśli powie im pan Bellaver. Uwierzą, jeśli pan Bellaver wyjawi prawdę na temat Lazarytów, o tym co się dzieje z człowiekiem, kiedy przechodzi przez właz. Jego posłuchają. A przecież muszą być jeszcze inni, którzy wszystko wiedzą, albo przynajmniej podejrzewają. – Hyrst przerwał na tak długo, by się uśmiechnąć. – Całe piękno tej sytuacji polega na tym, że pan, panie Bellaver jest czysty. Nie jest pan odpowiedzialny za morderstwo popełnione przez pańskiego dziadka. Może pan przysiąc, że nawet pan o nim nie wiedział, aż do tej chwili.

Vernon zwrócił się do Bellavera:

– Jeżeli to zrobisz, wypatroszę cię do końca.

– A co on może, panie Bellaver – krzyknął Hyrst. – Może sobie mówić. To pan ma pieniądze, pozycję społeczną, możliwości prawne. Pan może mówić głośniej. A kiedy wszyscy już poznają prawdę, kto uwierzy w słowo Lazaryty przeciwko słowu człowieka?

Jego głos stawał się coraz mocniejszy i głośniejszy, przekrzykując wrzask Vernona.

– Boi się pan go, panie Bellaver? Czy tak się pan go wystraszył, że pozwoli pan odlecieć statkowi międzygwiezdnemu?

– Przytrzymaj go – powiedział Bellaver, i jeden z marynarzy przytrzymał mocno Vernona. – Jedną chwileczkę, panie Hyrst. A jaki jest pański cel? Tak po prostu zemsta? Czy sprzeda pan swoich przyjaciół, za to co kiedyś zrobiono i co zostało zakończone pięćdziesiąt lat temu? Nie wierzę w to, panie Hyrst.

Hyrst odparł bardzo powoli.

– Mogę panu odpowiedzieć na to pytanie, i to tak, że nawet pan to zrozumie. Mam dzieci. Teraz zaczynają się już starzeć. Przez całe swoje życie, żyły ze świadomością, że ich ojciec zabił człowieka. Nie z powodu niesprawiedliwości, nie w samoobronie, ale z zimną krwią, z czystej chciwości. Chcę aby wiedziały, że było inaczej.

– Brać go! – rozkazał Bellaver. Marynarze obezwładnili Vernona, który rzucił złośliwie w stronę Bellavera.

– On nie ma zamiaru doprowadzić cie do tego statku. Odczytałem jego myśli. Kiedy wydasz mnie i oczernisz imię swojego dziadka po to, aby oczyścić jego, będzie ci się śmiał prosto w twarz. Jaki z ciebie głupiec, Bellaver!

– Jestem nim, panie Hyrst?

– O tym już sam pan musi zdecydować. Oferuję panu statek międzygwiezdny za Vernona, a to uczciwa wymiana, ponieważ ja chcę go dostać równie mocno jak pan chce dostać statek. A mogę panu od razu powiedzieć, że jeśli zdecyduje pan się mnie przechytrzyć i wyśle swoich strażników, żeby na mnie zapolowali, nic to panu nie da. Jeżeli nawet mnie dopadną, to nie dam wziąć się żywcem.

Zapadła cisza. Okiem umysłu Hyrst widział krople potu spływające pod hełmem z twarzy Bellavera. Widział również twarz Vernona. Ten widok sprawił mu dużą przyjemność.

– To powinna być dla pana łatwa decyzja – kusił dalej. – Powiedzmy, że mimo wszystko jednak kłamię. Co ma pan do stracenia oprócz Vernona? A przy jego osiągnięciach, to nie jest zbyt duża strata.

– Trzymać go – ponownie polecił Bellaver. – W porządku, panie Hyrst. Zrobię to. Ale teraz ja coś panu powiem. Jeżeli mnie pan okłamuje, nie będzie żadnego ponownego przebudzenia po kolejnych pięćdziesięciu latach. To byłoby za dobrze.

– Uczciwe postawienie sprawy – zgodził się Hyrst. – Odkładam broń. Wchodzę do środka.

Szybko ruszył przez śnieg w stronę wieży.

Rozdział X

Na mostku swojego jachtu, Bellaver odwrócił się do Hyrsta i powiedział:

– Zrobiłem to, czego pan chciał. Teraz niech pan mi znajdzie ten statek międzygwiezdny.

Hyrst skinął potwierdzająco głową.

– Startujemy.

Rakiety zaryczały i zagrzmiały, a szybki jacht trzęsąc się i drżąc, wystrzelił w niebo.

Hyrst siedział spokojnie na fotelu antyprzeciążeniowym. Poczuł, że jest zupełnie innym człowiekiem, że w ciągu ostatnich paru dni, zmienił się całkowicie. W tym czasie bardzo wiele się wydarzyło.

Bellaver wysłał odpowiednie informacje przez radio, jeszcze zanim jego jacht opuścił Tytana, i historia Lazarytów, wybuchła w Układzie Słonecznym jak nova. Natychmiast pojawiły się przypadki prześladowań ludzi podejrzanych o to że są Lazarytami, przez ich sąsiadów, i Rząd w szaleńczym tempie zajął się dalekosiężnymi implikacjami Humanitarnej Kary.

Wkrótce za odpaleniem tej bomby, poszły gniewne oskarżenia Vernona przeciwko Bellaverowi, wysunięte natychmiast jak tylko został on oddany w ręce władz na Marsie. W czasie dwudziestu marsjańskich godzin, niezbędnych do wniesienia formalnego oskarżenia i wpłacenia kaucji, oraz do zatankowania do pełna zbiorników jachtu Bellavera, opowieść Vernona o statku międzygwiezdnym obiegła już wszystkie kręgi międzyplanetarne. Skończyło się tak, jak przewidywała Christina. Cały Układ Słoneczny oszalał na punkcie powstrzymania i schwytania Lazarytów, a każdy człowiek w kosmosie stał się samozwańczym poszukiwaczem ukrytego statku międzygwiezdnego. Bellaver pozostawiając swoim prawnikom odpieranie oskarżeń Vernona, złożył już formalne roszczenia do tego statku, opierając się na wartości skradzionego tytanitu.

– Gdzie? – dopytywał się Bellaver, płonąc z niecierpliwości. – Gdzie?

– Proszę zaczekać –odparł Hyrst. – Obserwuje nas tu zbyt wielu ludzi, gotowych podążyć za nami. Niech pan poczeka, dopóki nie odlecimy trochę od Marsa.

Siedział w swoim fotelu, wpatrując się w kosmos. Jego energia całkowicie odpłynęła, razem z gniewem, który ją karmił. Gdzieś tam, jego syn i dwie córki, wciągali swoje pierwsze swobodne oddechy, uwolnieni od brzemienia, którego nigdy nie powinni dźwigać. Teraz wiedzieli już, że był niewinny, i być może byli w stanie myśleć o nim bez goryczy, wypowiadać jego imię bez nienawiści. Zrobił to, co postawił sobie za cel do realizacji, i właśnie skończył swoje dzieło. Wiedział co go teraz czeka, ale był za bardzo zmęczony, aby się tym przejmować.

Jacht leciał szybko, oddalając się od czerwonej, starej, znużonej planety. Hyrst pomyślał o Shearingu, Christinie i innych, pracujących nad swoim statkiem, na ciemnej równinie. Czuł, że może to robić bezpiecznie, ponieważ Vernona nie było, a szary, zły człowieczek, który pomagał torturować Shearinga na pokładzie *Happy Dream*, ciągle leżał w szpitalu na Ziemi, dochodząc do siebie po uderzeniu, jakim poczęstował go Hyrst. Obaj byli poza zasięgiem, a Hyrst był obecnie jedynym Lazarytą, jakiego miał Bellaver.

Nie próbował nawiązać łączności z Shearingiem, ponieważ wiedział, że to jest niemożliwe, a poza tym nie było żadnego do tego powodu. Jego umysł sięgnął na zewnątrz i powędrował przez zanurzone w czarnej nocy obszary kosmosu, poza orbitą Saturna, poza Uranem i Neptunem, poza czarną i zamarzniętą kulą Plutona. Nie dostrzegał statku

Lazarytów, ani dotknął umysłu żadnego z nich, i stąd wiedział, że przez cały czas mają rozciągniętą pelerynę, nieustannie chroniąc się przed możliwą zdradą. Wycofał swój umysł i życzył im w myślach szczęścia.

– Wydostaliśmy się z Marsa – oznajmił Bellaver. – Gdzie lecimy?

– Tędy – powiedział Hyrst i wskazał ręką. – W stronę Słońca.

Jacht wykonał zwrot i ruszył nowym kursem, prowadzącym w kierunku dalekiego blasku Słońca.

– A dokładniej, w które miejsce?

– Czy ufa pan wszystkim marynarzom w swojej załodze? – spytał Hyrst. – Czy jest pan pewien, że żaden z nich nie wyda tajemnicy, kiedy zatrzymamy się aby uzupełnić paliwo? Proszę pamiętać, że teraz już nie jest pan jedynym człowiekiem wiedzącym o istnieniu statku międzygwiezdnego.

– Ale mógłby pan powiedzieć to *mnie*.

– Jest pan zbyt niecierpliwy, Bellaver. Chciałby pan udać się prosto tam, a to nie będzie takie proste. Oni mają środki obronne. Musimy być bardzo ostrożni, albo zniszczą statek, zanim go przejmiemy.

– Albo skończą te przekaźniki i odlecą. – Bellaver posłał Hyrstowi długie spojrzenie. – Zaufam panu, ponieważ nie mam wyboru. Ale ja nie posyłam gróźb na wiatr. I zrobię to w taki sposób, że nikt nawet nie będzie podejrzewał mnie o morderstwo. Lepiej niech pan znajdzie dla mnie ten statek, Hyrst.

Od tamtej chwili, Bellaver niemal nie sypiał. Przemierzał korytarze, siedział w sterówce i obserwował Hyrsta z gryzącą, wycieńczającą wątpliwością. Hyrst zaczął czuć w stosunku do niego coś w rodzaju odległego żalu, jaki mógłby czuć dla człowieka opętanego przez jakąś chorobę, spowodowaną jego własnymi nadmiernymi ambicjami.

Jacht minął orbitę Ziemi, uzupełnił paliwo w niewielkiej stacji kosmicznej, i popędził dalej. Hyrst nieustannie zwodził Bellavera, od czasu do czasu rozkazując zmieniać kurs, tak by tamten czuł się zadowolony. Co jakiś czas pozwalał swojemu umysłowi wędrować po tych ciemnych przestworzach, które z każdą mijającą sekundą pozostawiali coraz dalej za sobą. Za każdym razem, wymagało to coraz większego wysiłku, ale ciągle nie odkrył nawet śladu statku międzygwiezdnego ani jego bazy, i dzięki temu wiedział, że prace nad nim nadal trwają.

W międzyczasie jacht dotarł do orbity Wenus. Po jego obu stronach, oraz za nim, zebrał się wachlarzowaty kordon innych statków, ściągniętych przez pogłoskę, że Bellaver jest na tropie poszukiwanego statku międzygwiezdnego. Patrole rządowe nieustannie krążyły w pobliżu.

– Oni nie mogą się wtrącać – stwierdził Bellaver. – Mam sekwestr na ten statek, formalne roszczenie prawne.

– Pewnie – odparł Hyrst. – Ale lepiej być pierwszym, kto go znajdzie. Prawo posiadania, sam pan rozumie. Trzeba ich trochę pozwodzić. Wprowadzić w błąd. Teraz są już pewni, że wiedzą, gdzie pan leci.

– A nie są? – powiedział Bellaver, spoglądając przed siebie, w błyszczącą iskierkę wyznaczającą położenie Merkurego. – Nie ma już żadnego innego miejsca, gdzie moglibyśmy polecieć.

– Naprawdę, nie ma?

Bellaver wpatrywał się w niego, ze zwężonymi oczyma.

– Legenda Wulkana została zdruzgotana przez pierwszych badaczy. Nie ma żadnej planety wewnątrz orbity Merkurego.

Hyrst wystrzelił szybkim ostrym mentalnym spojrzeniem w stronę Plutona. Nadal nic. Westchnął i odpowiedział lekkim tonem:

– Wtedy jej tam nie było. Teraz jest.

Z tupetem stawił czoła wyrazowi niedowierzania na twarzy Bellavera.

– Proszę pamiętać, że to są Lazaryci, a nie ludzie. Zbudowali dla siebie schronienie w miejscu, w którym nikt nawet by nie pomyślał, żeby ich szukać. Nie planetę, oczywiście. Po prostu latającą fabrykę. Satelitę. Teraz już pan wie. A więc, niech pan pozwoli im łudzić się, że chodzi o Merkurego.

– W porządku – delikatnie powiedział Bellaver. – W porządku.

Minęli zagubionego w blasku Słońca Merkurego, i jedynie kilka statków podążyło za nimi, daleko z tyłu. Reszta zatrzymała się, aby przeszukać skaliste doliny w Pasie Półmroku i ponure pola lodowe na Ciemnej Stronie.

Teraz jednak Hyrst dociągnął już swoją strunę do końca, i dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Kiedy nadal nie było widać żadnego wewnątrz–merkuriańskiego satelity, ani fizycznie, ani na ekranach detektorów, nie miał już żadnych nowych kłamstw do sprzedania. Nieustannie wysyłał swój umysł na zewnątrz, do lodowatych planet krążących na obrzeżach Układu, gdzie docierają jedynie resztki światła słonecznego, i denerwował się, modlił i nieustannie miał nadzieję, że wszystko idzie dobrze. I nagle peleryna została odrzucona i zobaczył samotny kawałek skały poza Plutonem, wydrążony tak, by można było umieścić w nim warsztaty oraz kwatery mieszkalne, oraz wielki statek stojący na rozciągającej się przez milę równinie, nad którym wznosiły się gwiazdy. Statek wystrzelił ponad równinę, zatoczył krąg w górę, i nagle zniknął.

Hyrst poczuł czarną rozpacz, że nie ma go z nimi na pokładzie. Zwrócił się do Bellavera:

– Może pan już przestać tak wypatrywać. Oni odlecieli.

Przyglądał się jak Bellaver umiera. Stał prosto na nogach, ciągle oddychał, ale w środku umierał, razem z ostatnim ulatującym skrawkiem nadziei.

– Tak myślałem, że pan kłamie – w końcu powiedział, – ale to była jedyna szansa jaką miałem. – Pokiwał głową, spoglądając w stronę okrytego żaluzjami portu widokowego, przez który przebijał z zewnątrz trudny do zniesienia blask. Oznajmił płaskim, martwym głosem. – Gdyby znalazł się pan tam na zewnątrz, związany, w szalupie ratunkowej kierującej się w stronę Słońca… Tak. Dałoby się wymyślić historię, która by do tego pasowała.

Takim samym bezdźwięcznym głosem zawołał swoich ludzi. Nagle jednak jacht przechylił się i zadrżał, skąpany w strumieniu jakiejś potężnej energii. Hyrst i pozostali polecieli na wszystkie strony, obijając się o grodzie, światła pogasły, a urządzenia przestały działać.

Na zewnątrz, za portem widokowym, po przeciwległej do Słońca, nieosłoniętej żaluzjami stronie, zupełnie znikąd zmaterializował się jakiś olbrzymi kształt, zawisając nieruchomo w przestrzeni, tuż obok jachtu.

Jasno i wyraźnie, Hyrst usłyszał w swoich myślach głos Shearinga, który powiedział:

– Czy nie mówiłem ci, że braterstwo nie opuszcza swoich ludzi w potrzebie? Ponadto nie mogliśmy przecież pozwolić, żebyś zrobił z siebie kłamcę, nieprawdaż?

Hyrst zaczął się głośno śmiać, trochę histerycznie. Oznajmił Bellaverowi:

– Oto pański statek międzygwiezdny. A Shearing powiedział, że jeżeli wejdą po mnie na pokład, i nie zastaną mnie przy życiu, to podczas odlotu nie będą zachowywać aż takiej ostrożności przy zakrzywianiu przestrzeni, jak wtedy kiedy przylecieli.

Bellaver nic nie odpowiedział. Siedział tylko na pokładzie, w miejscu, gdzie rzucił nim wstrząs, milcząc. Nadal tak siedział, kiedy Hyrst przeszedł przez śluzę powietrzną do przysłanej ze statku łodzi, i nie ruszył się nawet wtedy, kiedy wielki statek zniknął w zupełnej ciszy, w jakiejś tam tajemniczej nadprzestrzeni, którą otworzyły umysły Lazarytów, by swobodnie przemierzać przestworza wszechświata, gdzie wirujące galaktyki mknęły przez

wieczność po nieskończonych szlakach, a gwiazdy jasno płonęły, i gdzie nic już nie było w stanie powstrzymać marszu Legionu Łazarza. A kto to wie, kto jest w stanie powiedzieć, gdzie ten marsz może się zakończyć?

Na pokładzie statku, który obecnie znajdował się już miliony mil dalej, Hyrst powiedział Christinie:

– Kiedy sprowadzono mnie z powrotem, spoza włazu, to było jakby powtórne przebudzenie. Ale to… to jest jakby powtórne narodziny.

Nie odpowiedziała na to. Ale wzięła go za rękę i uśmiechnęła się.

KONIEC